Nr. 22. Poznań, niedziela 31-go maja 1896. Rok III.

# PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
**Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p.
**Administracya:** ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. I r. Tomaszewskiego.)

**PRZEDPŁATA KWARTALNA**
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

**OGŁOSZENIA:**
20 fenigów od wiersza petytowego.
**Pojedyńczy numer:**
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
**Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

## TREŚĆ.



## Organizacya i reforma kredytu rolnego

### *w Niemczech*

II.

Wobec niezwykłego rozkwitu nauk stosowanych, ożywienia stosunków międzynarodowych i międzynarodowego podziału pracy, znalazły się Niemcy w XIX wieku w tej fazie rozwoju ekonomicznego, w jakiej była Anglia w początkach stulecia. Produkcya zaczęła się koncentrować w gałęziach przemysłu, absorbując siły roboczе rolnictwa. Zmiana taka w charakterze produkcyi krajowej nadwyrężyć musiała równowagę podziału pracy między poszczególnemi klasami pracującemi: znalazło się więcej rąk, niż dana gałęź przemysłu zatrudnić mogła — i oto „armia zapasowa“ liczy dziesiątki tysięcy ludzi.

Wobec tego, że ludzie, co stanowią dziś proletaryat fabryczny, należeli dawniej do roli i praca ich była daleko więcej produkcyjną, — utrzymanie ich przy roli leży w interesie gospodarki narodowej.

Lecz nietylko to: chłop, choćby był właścicielem najdrobniejszego kawałka gleby, trzyma się go z pokolenia na pokolenie z przesądnym nieledwie uporem i tworzy element niezawisły, spokojny, niełatwo poddający się różnym fluktacyom, nie odczuwający tak boleśnie wszelkich przesileń ekonomicznych, bo jest pracodawcą i robotnikiem zarazem, bo pracy swej nie sprzedaje, nie jest więc narażony na odczuwanie różnic w jej cenie.

Robotnik fabryczny zaś, będąc przedstawicielem produkcyi bardziej zróżniczkowanej, związany jest z mechanizmem pracy międzynarodowej, narażony na odczuwanie wszystkich jej kataklizmów i powikłań, skłonny do wynarodowienia się. Charakter pracy jego jest kosmopolityczny, podczas gdy rolnika — narodowy. Oto dlaczego tak wielkiem jest znaczenie najmniejszej własności ziemskiej w gospodarce narodowej. W uznaniu wartości tej dąży polityka ekonomiczna zarówno do utrzymania dotychczas istniejącej małej własności ziemskiej jak do ułatwienia powrotu do roli, do wytworzenia małej własności.

Pierwszym warunkiem potemu jest reforma organizacyi kredytu: widzieliśmy, jak utrudnionem jest korzystanie z kredytu realnego dla małej własności, widzieliśmy, jakie wady ma odnośne ustawodawstwo. Reforma w tym względzie jest tylko kwestyą czasu, a żądania jej, tyczą się dwóch punktów:

1) aby granica wymagalnej wartości majątku, na który ma być zaciągnięta pożyczka, była obniżona choćby do tego poziomu, jaki przyjęło Towarzystwo Ziemskie na Szląsku.

2) aby dłużnik miał prawo sześciomiesięcznego wymówienia kredytu uzyskanego bez względu na to, czy w zawartym kontrakcie punkt ten został zmodyfikowany.

Najbliższym wynikiem rozszerzenia kredytu realnego na szersze warstwy byłoby zmniejszenie działalności instytucyi pożyczkowych prywatnych, przedewszystkiem zaś umożliwienie dłużnikowi wyrwania się ze szponów lichwiarskich. Mając możność spłacenia swych długów zapomocą pożyczki z Towarzystwa Ziemskiego, mała własność ziemska skorzystałaby na tej zmianie wierzyciela niesłychanie wiele: zważmy, że gdy dłużnik, zamiast 9% (minimum) jakie musi — a więc może — płacić przy obecnym stanie rzeczy, miałby do płacenia 4%, to pozostałe 5%, idąc na amortyzacyę długu, pokryłyby go w przeciągu lat kilkunastu.

Jakkolwiek w myśl potrzeb gospodarki narodowej koniecznem jest uwzględnienie potrzeby kredytu najdrobniejszej własności ziemskiej, z charakteru jednak Towarzystwa Ziemskiego i kredytu realnego, tj. opartego na nieruchomości, wynika, że musi być pewna granica w wartości majątków, niżej której ustaje prawo do kredytu. Najmniejsza własność więc w mniejszym lub większym stopniu musi być pozbawioną kredytu. W tym razie na miejsce kredytu realnego zjawia się kredyt osobisty, a instytucyą powołaną do zorganizowania kredytu osobistego są spółki kredytowe (Kreditgenossenschaften). Celem ich jest „zdemokratyzowanie kredytu“ tj. danie dowodu, że i klasy najniższe są godne kredytu i zdolne do niego, że dostarczenie go im jest koniecznym wynikiem zaufania, na które zasługują.*)

Kapitał, którym obracają spółki kredytowe tworzy się z minimalnych składek członków, a za całą pewność ze strony dłużników służy poręczenie jednego członka. Przeciętna stopa procentowa wynosi 5—5½%.

Jak żywy udział biorą spółki kredytowe w zaspokojeniu kredytu rolnego, dowodzi istnienie spółek „w celu pomagania wszystkiemi rozporządzalnemi środkami do utrzymania się w posiadaniu ziem“. (§ 2 statutu spółki kredytowej w Limanowie, Galicya). Tamże w r. 1892 z pomiędzy 759 członków było 686 właścicielami małych posiadłości ziemskich.

Wkłady wynosiły w 1891 r. 24 fl. 78 kr.
w 1892 r. 24 fl. 50 kr.

Kapitał rezerwowy 11 546 fl., rozpożyczono 71 564 fl., spłacone pożyczki wyniosły 65795 fl., czysty dochód za 1892 r. 1653 fl., dywidenda 5%.

Są to cyfry na pozór minimalne, gdy się je porówna z miljardami, któremi obracają Towarzystwa Kredytowe Ziemskie, gdy się jednak zważy, jak olbrzymią jest liczba tych spółek i jak wciąż wzrastają, trzeba uznać je za pierwszorzędną dźwignię kredytu najmniejszej własności ziemskiej.

Sprawozdania z r. 1891 z 1961 spółek kredytowych w Niemczech wykazują:

| | |
|---|---|
| Aktywa wynosiły w końcu 1891 | 109,938,000 |
| Passywa . . . . . . . . | 109,298,000 |
| Zysk czysty za rok 1891 . mrk. | 640.000 |

Cyfry powyższe o tyle są niedokładne, że nie opierają się na sprawozdaniach z działalności wszystkich spółek kredytowych monarchii Niemieckiej, których liczba wynosiła z końcem 1893 roku przeszło trzy tysiące, o 376 więcej niż w roku poprzedzającym.

Niżej podana kolumna cyfr wykazuje wzrost i liczbę spółek pożyczkowych w poszczególnych krajach Niemiec. Ilustruje ona przedewszystkiem niezmierną ich wagę wogóle a wagę w kwestyi kredytu rolnego szczególniej.**)

Państwo pruskie liczyło

| | w r. 1892 1 czerwca | w r. 1893 1 lipca |
|---|---|---|
| | 846 | 1001 |
| a mianowicie: | | |
| Prusy wschodnie . . | 63 | 74 |
| Prusy zachodnie . . | 15 | 17 |
| Pomorze . . . . . | 2 | 3 |
| Brandenburgia . . . | 14 | 23 |
| W. Ks. Poznańskie . | 11 | 12 |
| Szląsk . . . . . . | 57 | 74 |
| Saksonia . . . . . | 44 | 48 |

*) ,'Kreditfähig zu zeigen und creditwürdig zu mach n und so dem sittlichen Halt die unentbehrliche, wirtschaftliche Unterlage zu geben“. Schultze-Delitzsch.

**) Gamp. Der Landwirtschaftliche Credit und seine Befriedigung. B. 1893.

Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses. Nr. 710. 711. XI. Session 1893. 1.

| | | |
|---|---|---|
| Hanower | 84 | 99 |
| Szlezwik Holstein | 3 | 3 |
| Westfalia | 175 | 181 |
| Prowincye Nadreńskie | 125 | 184 |
| Hessen Nassau | 247 | 277 |
| Hohenzollern | 6 | 6 |

* * *

| | | |
|---|---|---|
| Bawarya | 567 | 679 |
| Wyrtembergia | 461 | 567 |
| Saksonia | 22 | 27 |
| Badenia | 136 | 141 |
| Hessya | 251 | 272 |
| S. Weimar | 37 | 42 |
| Alzacya Lotaryngia | 131 | 139 |
| Ces. Niemieck. ogółem | 2664 | 3040 |

*Kazimierz Rakowski.*

## POLITYKA.

# Przegląd prasy polskiej.

Germanizacya. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ (Lwów) czytamy:

„W tych ziemiach polskich, które bezpośrednim wpływom niemieckim oddawna już ulegają, zniemczyła się przed innemi ta warstwa społeczna, która zajmowała stanowisko przewodnie. Jeszcze w XVIII stuleciu były na Śląsku szlacheckie domy polskie, dziś nie ma już ani jednego. W Prusiech Wschodnich XVII nawet i w XVIII stuleciu liczono kilkaset rodzin szlacheckich polskich, które albo wysiedliły się następnie, albo zniemczyły całkowicie. Nawet w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiem zrobiła już germanizacya znaczne szczerby w tej warstwie narodu i w związku z wielu innemi czynnikami silnie podkopała jej stanowisko społeczne.

Warstwa społeczna, w znaczeniu swem i podstawach bytu swego zachwiana, bezwiednie słabością swoją mierzy siłę narodu. W obec dążności germanizacyjnych rządu, społeczeństwa niemieckiego, a poniekąd i kościoła, z nieubłaganą stanowczością zmierzających do wytkniętego celu — szlachta w zaborze pruskim i inteligencya polska, która w przeważnej większości z urodzenia lub z przekonań i usposobienia dziś jeszcze jest szlachecką, czują swoją słabość i niezaradność. Jedni pragną za pomocą ustępstw i kompromisów powstrzymać, chociażby na czas krótki działanie systemu, który przedewszystkiem im zagraża. Drudzy, rozumiejąc, że Niemcy od systemu swego nigdy dobrowolnie nie odstąpią, i nie ufając w siły własnego społeczeństwa, w zwątpieniu i przygnębieniu bezczynnie załamują ręce i wyrzekają się wszelkiej nadziei lub oczekują jakiegoś cudu, który naród nasz od grożącej mu zagłady ocali. Inni wreszcie, bo są i tacy, w przystępie rozpaczy gotowi byliby zmienić jarzmo niemieckie na rosyjskie, byleby tylko pozbyć się wroga, którego przemoc wydaje im się niezwalczoną.

Zrozumieć można stan umysłów i nastrój uczuć wywołujących tego rodzaju zboczenia polityczne. Nie są te zboczenia następstwem błędnych rachub lub poglądów fałszywych, ale po prostu wynikają z poczucia słabości. Przed kilku laty na jakimś zjeździe w Poznaniu jeden z mieszkańców Królestwa zapewniał, że Polacy w zaborze rosyjskim z radością powitają pikelhauby pruskie na ulicach Warszawy. Na innem znowu zebraniu pewien mówca wielkopolski wygłosił zdanie, że ziomkowie jego pragnęliby usłyszeć brzęk podków koni kozackich na bruku Poznania. W tych i w ogóle w podobnych wyrażeniach nie trzeba upatrywać zapowiedzi jakichś zwrotów politycznych lub programów działania, ale są one objawem znamiennym usposobienia większości naszej inteligencyi szlacheckiej i wielkomieszczańskiej.

Należałoby wykazać różnicę, jaka istnieje między germanizacyą a rusyfikacyą, chociaż ta druga jest pod wieloma względami kopią pierwszej, do odmiennych warunków zastosowaną. Nie możemy dziś pobieżnie natwet traktować tego przedmiotu, ale zaznaczymy, że jako system polityczny rusyfikacya jest gorszą chociaż w rzeczywistości mniej szkodliwą niż germanizacya. To zaś, że jest mniej zgubną zawdzięczamy nie twórcom i wykonawcom systemu, ale przedewszystkiem naszej wyższości naturalnej, a następnie warunkom terytoryalnym i ekonomicznym.

Bądź co bądź, ludność polska w państwie niemieckim ma możność chociaż ograniczoną, obrony praw swoich, a obok tego ma, co jest ważniejszem, względną swobodę organizowania sił narodowych w różnych dziedzinach działalności. Stowarzyszenia polskie i prasa ludowa polska oddały sprawie narodowej polskiej olbrzymie usługi, których należycie ocenić dziś jeszcze nie możemy. Bez nich polskość ludu byłaby dotychczas jego właściwością bierną, bezwiedną, kiedy dziś jest już potężną siłą czynną i świadomą. Ta zamiana jest już faktem dokonanym który pozostanie i rezultaty odpowiednie wyda, chociażby dziś ludność polska w Prusiech pozbawiono nawet wszelkich praw konstytucyjnych.

Germanizacya jest systemem politycznym, w pewnej mierze z interesami narodowości niemieckiej, a przedewszystkiem i interesami państwa pruskiego ściśle związanym, wytworzonym przez warunki historyczne oraz współczesne racye państwowe i ekonomiczne. Powinniśmy to sobie uświadomić należycie, bo nasza działalność odporna musi być przystosowaną do charakteru działalności przeciwnika. Nie możemy spodziewać się zmiany tego systemu: żywienie takich nadziei jest szkodliwem dla nas złudzeniem a rozprawianie o niemoralności germanizacyi — próżną gadaniną, nie mającą nic wspólnego z polityką. Nie ma stronnictwa w Niemczech, nie wyłączając socyalistów, któreby się wyrzekło stanowczo tego rodzaju dążności, co najwyżej inaczejby tylko system stosowało. Niemcy naszą dzielnicę zachodnią uważają za swoje dziedzictwo, którego posiadanie pragną jaknajrychlej utrwalić.“

* *

Zruchu wyborczego w Galicyi. W demokratycznej prasie galicyjskiej wywołuje wielkie rozgoryczenie kandydatura ministra Rittnera w uzupełniających wyborach do sejmu zmiasta Tarnopola. Nawet umiarkowane organy stronnictwa demokratycznego utyskują na presyę rządową, potęgującą pokrzywdzenie miast, tkwiące już w samej ustawie wyborczej. Oto, co pisze w tym względzie „Słowo polskie“, wychodzące we Lwowie:

Rząd odniósł łatwe zwycięztwo. „Kolega ustąpił koledze — przyjaciel przyjacielowi — i minister Rittner będzie wybrany posłem na Sejm, wśród gorącego aplauzu dobrowolnie i niedobrowolnie urzędowych organów prasy. Ale żaden z tych organów nie raczył nam dać odpowiedzi na postawione przez nas pytanie, jaki pożytek odniesie Sejm, kraj i miasto Tarnopol ztąd, że p. minister w czasie sesyi sejmowej przyjedzie na kilka dni do Lwowa, a choćby i na dłużej przyjechał, to jako minister, nie będzie mógł brać tak czynnego i żywego udziału w pracach

---

*MAJAK.*

# MŚCICIEL.

(Dokończenie).

Lecz tamci się przerazili. Uśmiecha się. Ktoby to mógł być? Widocznie para kochanków.

Nagle staje mu przed oczyma twarz owej kobiety w koronkowym negliżu, oblicze owego mężczyzny. Czuje, jak go jakieś dziwne zimno przejmuje. To Etelka! Coraz wyraźniej występują rysy jej twarzy na tle szarem, brudnożółtem, refleksami przyćmionej lampki słabo oświetlonem. Nie może być inaczej. A on? Wie teraz dokładnie, to ów mężczyzna z tego pozornie cichego domu, i znów mu się przypomina bagno, lśniącą porośnięte zielenią. Ha! teraz wszystko mu jasne. To ów oficer od ułanów, dawny Etelki narzeczony — brzmi, huczy, wrzeszczy w nim. Wszystko to na niego oddziałuje, jakby spojrzał w czarną, straszną otchłań, a patrząc w nią, zawrót go bierze. Potem ogarnia go całego cicho pełzające, lecz duszące przerażenie. A potem jeszcze przypomina sobie ową woń, narkotyczną, intenzywną, przenikającą jego powonienie. I do owej chwili żyje pod tem wrażeniem i cierpi.
— — — — — — — — — — — — —

Od owej chwili też nie był u Lorysów, unika starannie zetknięcia się z nim. Jemu się wydaje, że jest współwinnym. Minęło kilka tygodni. Nie dawno temu odebrał karteczkę z zapytaniem, czemu nie przychodzi? On ma iść do niego! Dla tego dzisiaj tak walczy z sobą. Powiedzieć mu, czy nie powiedzieć? Jeżeli powie, wie, że pozbędzie się tej trapiącej go mary, lecz zarazem zniszczy szczęście przyjaciela, jeżeli nie powie, na długo będzie chodził ściśle złączony z tą przykrą wizyą, a przyjaciel jego będzie żył z kobietą, która... wzdrygnął się.

Od owego dnia nie może się pozbyć obrazu, który mu się w wyobraźnię wpił jak kleszcz, nie zdoła, nie zdoła zapomnieć tego. Co za okropne położenie! Wszędzie ta wizya przed nim majaczy; widzi tych dwoje w szarych kątach owego pokoju, mrocznych jesiennem, ołowianem światłem, widzi ich na kanapie... wzdrygnął się. Tak, tak, oni siedzieli tam — tam w owej ulicy robotniczej usłali sobie gniazdko zaciszne... Wdycha w siebie powietrze, bo wydaje mu się, że go to wrażenie dusi, przygniata. — W tem w jego kawalerskiem mieszkaniu unosi się woń jakaś znajoma, drażniąca, oddech zatrzymuje mu się w piersiach, chciałby wyrzucić powietrze z krtani, płuc, z nosa, bo to ta sama woń, która wtenczas.... nie, nie, on nie chce o tem myśleć. Próżne wysiłki; wrażenie już przybrało w nim postać sturamiennego polipa, który go obejmuje i ssa z niego nie krew, nie soki żywotne, lecz jego spokój. A on nie umie go określić, nie umie dać mu nazwy. Dawniej starał się każdy rodzaj, każdą odmianę usposobienia swego wyrazić albo barwą, albo jakim dźwiękiem; miał zawsze siłę określić najlżejszy objaw, wyskok swej chorobliwej tkanki nerwowej. Oczywiście nie mówił o tem, lecz wewnętrznie odczuwał, że usposobienie jego miało dziwaczną grę kolorów, że jest czarno, różowo, niebiesko lub inaczej usposobiony. Na *to* uczucie, na *ten* stan duszy, w jaki go wprawiło otrzymane wrażenie, nie miał nazwy. Czuł, że z tych barw, któremi umiał oznaczać swe usposobienie, swój stan duszy, powstał jakiś dziki chaos gorączkowych, poplątanych z sobą kolorów, niby zupełnie bezbarwnych, a jednak o cechach wybitnych, tylko że nieokreślonych. Próbował uchwycić wrażenia z tego dzikiego rozstroju, z tej nieharmonijności zlanych, rozbijających się, gryzących, wijących się w około siebie i w sobie barw, a przy tych wysiłkach ujęcia wrażenia w jakąś stałą masę otrzymywał odbicie, jakie czasami miewał w gorączce- — Jakież ono było? To wiedział, że było niepokojące, trawiące... przykre. Już dalej nie próbował uchwycić w jednolitą całość tego chaosu, zadowolił się wyrażeniem „przykre“. Rzeczywiście, — prawie stan swej duszy pojął. Gdy wizya owa wracała, czuł przykry smak na ustach. Da-

Sejmu, jakiego od posłów wogóle, a już zgoła od posłów z miast ma się prawo wymagać,

Ten ostatni punkt jest dla nas szczególniej ważny i nie możemy zataić szczerego żalu do wszystkich, którzy w tej sprawie byli czynni, za takie nią pokierowanie. Posłów z miast jest 20, będzie obecnie (po sankcyonowaniu uchwały ostatniego Sejmu) 23, a razem z posłami z Izb handlowych 26, — posłów z wielkiej własności jest 44, z małej własności 74, wirylistów 10 — razem 154. Miasta więc mają wszystkie razem 17 proc. reprezentacyi, pomimo, że sam tylko Lwów i Kraków, nie licząc wcale wszystkich innych miast, płacą najmniej 25 proc. wszystkich podatków bezpośrednich, tak, że według tej miary należałoby im się 35 posłów. A może nie spotkamy się z zaprzeczeniem, twierdząc, że i z tytułu inteligencyi, w miastach skupionej, zasługiwałyby one także na większą, niż dotąd, reprezentacyę. To pokrzywdzenie miast jest zresztą dawno uznane i stwierdzone.

A skoro tak — to niechże przynajmniej praktyka wyborcza nie powiększa jeszcze tego w samej ustawie już tkwiącego pokrzywdzenia. A powiększa się je przez to, że się miastom narzuca posłów, którzy swoich obowiązków pełnić nie mogą, którzy nie mogą Sejmowi poświęcić tyle pracy, ile potrzeba, nie mogą być przy głosowaniach, w których idzie czy to o interes ich wyborców, czy też o polityczne zasady i kierunki tych wyborców — a to tem bardziej, że właśnie dla owej słabej liczebnie reprezentacyi miast w Sejmie zwiększa się waga każdego głosu. Wybór ministra z kuryi miast jest krzywdą, wyrządzoną miastom i wogóle tym zasadom postępu, które w miastach mają główne swe ogniska. Rząd, który się wyboru tego naparł, minister, ktory go przyjmuje, exkolega ministra, profesor uniwersytetu, który mając wszystkie szanse wyboru, ustąpił wobec kandydatury ministra — matadorzy miejscowi wreszcie, którzy na „wink" p. starosty zaraz się godzą na wybór ministra — wszyscy oni wyrządzili miastom niemałą krzywdę. A szczególniej szczery żal mamy do prof. Balasitsa, który bez żadnego politycznego powodu opuścił plac boju bez wystrzału.

Wprawdzie lwowski „Przegląd" wyraził z tego powodu gorące uznanie dla prof. Balasitsa, — który według pisma tego, dał dowód poszanowania „solidarności narodowej" — ale chyba nigdy jeszcze z tem pięknem hasłem solidarności nie popełniono tak jaskrawego nadużycia, jak stosując je do tego wypadku. Radzibyśmy istotnie dowiedzieć się, jaki jest związek między solidarnością narodową a kwestyą wyboru posła z miasta, któremu nie zagrażał żaden antinarodowy kandydat? Co na tem sprawa narodowa zyska, że na spisie posłów sejmowych będzie figurować nazwisko Jego Ekscelencyi, ale że się z niem nie spotkamy ani wśród nazwisk referentów komisyjnych, ani mówców sejmowych, ani w listach rozstrzygających imiennych głosowań? A dalej pytamy: dla czego owa solidarność narodowa ma zawsze zastosowanie do tej kuryi, która i tak jest w Sejmie zbyt słabo reprezentowana i tylko do tego stronnictwa, którego główny zastęp z miejskich wyborów wychodzi? Dla czego z tą zasadą nie zwrócono się w tym wypadku do innego okręgu wyborczego, gdzie wakuje mandat po śp. Horodyskim — i gdzie wybiera kurya i tak już zbyt silnie w Sejmie reprezentowana?

Jeżeli zaś sferom decydującym zależy na tem, żeby rekrutujące się głównie w miastach stronnictwo umiarkowanej, choć szczerej demokracyi polskiej, zredukować do minimum, odbierając mu mandaty przez narzucanie kandydatów ministeryalnych, — to nic łatwiejszego, jak życzeniu temu zadość uczynić. Potrzeba tylko rzucić hasło obojętnego, spokojnego przypatrywania się temu, co się dzieje, i usunięcia się z coraz bardziej przykrych stanowisk. Umiarkowana polska demokracya zniknie wtedy z pola walki, a jeżeli jej miejsce zajmie nieumiarkowana, to już nie my temu będziemy winni".

*— ski.*

## LITERATURA I SZTUKA.

# Jan Kubisz

### poeta szląski.

I.

Podczas jakiejś uroczystości narodowej w Ameryce — opowiadał w swoich listach z podróży Ks. Marmier — kilku członków kongresu z trudem przedzierało się przez tłumy, dążąc na przygotowaną dla siebie estradę. „Usuńcie się moi przyjaciele — mówili — jesteśmy przedstawicielami narodu". Na to ktoś z widzów, niezadowolony, że go popychają i chcący zapewnie przypatrzyć się uroczystości na własne oczy, nie zaś oczami swoich pełnomocników, porwał jednego z natrętów za kołnierz, wołając ku wielkiej uciesze sąsiadów: „Usuń się, bo oto my jesteśmy samym narodem!"

Nieraz się zdarzało, że tych, którzy się narzucali ze swojem „przedstawicielstwem", trzeba było brać „za kołnierz", po amerykańsku, bo przedstawiciele zbyt często zapominają o interesach klientów i pod pozorem sprawy publicznej prowadzą własne sprawy.

Na Szlązku austryackim, którego obudzenie się do samowiedzy narodowej dokonało się prawie przed naszemi oczyma, nic podobnego nie stało się; więcej nawet powiem, zapoznawszy się z ruchem, ku odrodzeniu się narodowemu skierowanym, nie dostrzegam tam żadnej warstwy, żadnej klasy, nawet żadnej grupy ludzi, któraby uzurpowała sobie prawo przedstawicielstwa interesów lub polityki narodowej. Dostrzedz tam natomiast można wspólność pracy w jednym celu po całym obszarze Szląska.

Drobna to rzecz na pozór, a jednak jest dowodem wielkiej dojrzałości społecznej i politycznej tamtejszego społeczeństwa i tego umiarkowania rozumnego, które nie hałasuje, nie rzuca się z kijem na oślep, lecz kroczy wytrwale i powoli, a świadomie po obranej drodze. Zachodzi ta wielka różnica między Szląskiem a nami, że u nas pracują i prowadzą społeczeństwo jednostki, tam naród idzie sam, bo wszyscy są jednomyślni i wiedzą dokładnie, czego chcą. Społeczeństwo, w którem jedna warstwa wykształconą jest politycznie i posiada tradycye narodowe, a reszta stanowi ciemną masę, potrzebuje przewodników, a z tego stanowiska miał racyą Machiawel, kiedy radził wodzowi, podbijającemu obce państwo, przewodników zjednać, albo zniszczyć. Taką drogą postępowała także Rosya względem Polski. Naród bez przewodników — powiadał Tacyt — nic ośmieli się niczego przedsięwziąć.

W społeczeństwie nowożytnem takie poglądy nie dadzą się już zastosować, bo świadomość polityczna i narodowa przenika

---

wniej, gdy był poruszony, dźwięczały mu w duszy rozmaite dźwięki, melodye, motywa. Nie był muzykalnym, nie grał na żadnym instrumencie, lecz czuł w sobie wielką ilość strun, które odzywały się pod wpływem wrażeń. Była to jego muzyka, jemu właściwa. Były tam i akordy szumne jak fale rozhukanej orkiestry, były ciche drgnienia, półdźwięki, były dyssonanse zgrzytem rozdzierające mu duszę. Miały wrażenia więc obszerne pole odbijania się w nim, a na najlżejszy ich objaw znalazł się w nim stosowny dźwięk. Tym jednak razem nie było żadnego tonu w jego duszy, któryby choć w przybliżeniu oddał to, co czuł. Z początku zdawało mu się, iż pod siłą tego, co ujrzał, powstał chaos ogromny, bezmierny, jakby ręka o pięćdziesięciu palcach uderzyła nagle w wszystkie klawisze fortepianu. Tak też było na razie, lecz pod wpływem ciągle wracającej wizyi ustał ów chaos i powstał jakiś bezdźwięk, głuchy, zupełnie głuchy, jakby struny nagle stężały, niezdolne były do wibracyi. To było zupełne znieczulenie. Tak mu się wydawało, lecz było to nieprawdą, bo on czuł, tylko nie umiał w sobie tego czegoś odnaleźć, coby mogło rzucić jakiś promyczek do tej wielkiej niewyraźności, jaka w nim zapanowała.

Ma wyjść na miasto do Lorysa. Jeszcze nie wie, czy pójdzie. Staje przed lustrem, rzadki włos układa starannie na głowie. Wie, że wyłysiał, jest mu to obojętne, gorzej jest, że czuje właśnie teraz samotność. Tem więcej ją czuje, widząc się w lustrze i cały swój pokój, który w odbiciu taki szary, taki nagi, taki pusty, chociaż mebli w nim dosyć. Warto pomyśleć o towarzyszce. Wstrząsnął się, nieprzyjemny uśmiech wykrzywia mu usta. A gdyby jego tak zdradzono? A może i on żyłby z kobietą, która po za jego plecami oddaje się innemu? — Roześmiał się, przecież nie wiedziałby o tem, — ba, ale gdyby się dowiedział, odczuwał, jaki wstręt przejąłby go na myśl, że żył z kobietą, która... Przerywa swoje wątpliwości mocnem postanowieniem. Pójdzie do Lorysów — nie wie jeszcze co zrobi, lecz pragnie jej zajrzeć w oczy, za tę mękę, którą mu ona sprawiła, za tę hańbę, w której żyje przyjaciel jego, pobawi się jej męką.

— — — — — — — — — — — — — —

Poszedł do nich. Pyta się, czy państwo w domu, służący daje mu potwierdzającą odpowiedź. Nie pozwala mu anonsować swego przybycia — przeczuwa, że Etelka mu się nie pokaże, a on chce ją widzieć.

Wchodzi. — Zastaje ich w małym saloniku w łagodnem świetle abażurowej lampy.

Ze strony Lorysa kordjalne przywitanie i wymówki za długą niebytność. Ona w pół leżącej pozie spoczywa na szezlągu z książką w ręku. Idzie ku niej, spostrzega, że nie ma siły, by powstać na jego powitanie. Lecz chwila to tylko. Podpiera się ręką o poręcz, on przeczuwa, że nogi pod nią drżą. Wita ją zwrócony tyłem do przyjaciela, — zmusza się do podania jej ręki. Jeżeli wzrokiem oplwać można — on to uczynił. W tej chwili rozgrywa się straszny dramat. Ona ma uczucie ofiary, winowajcy wobec mściciela, oczekuje słowa, które padnie na nią, niszczące jak grom — lecz słowo to nie pada, chwila mija spokojnie, tak jak zwykłe powitanie ludzi, którzy od dawna się znają.

Lorys podaje mu krzesło.

— Powiedz mi mój mruku-pesymisto, — tak go nazywa, gdy jest w dobrym humorze, — dla czego tak dawno do nas nie zajrzałeś. Nawet Etelka pytała się kilka razy o ciebie.

To „nawet" daje mu poznać, że kobietę tę trawił niepokój, że spodziewała się, że on powie, co widział i zdruzgoce szczęście przyjaciela, który nawet cienia podejrzenia nie ma.

Cieszy go, że ona żyła w niepokoju, w obawie o jutro, które ją wyrzuci z tych wspaniałych wygód, z tego miękkiego zacisznego ciepła ogniska domowego i zmusi ją do poniewierki, do życia awanturniczego z tym tam. O! dałby dużo za to, gdyby mógł zajrzeć w jej duszę.

Bada ją uważnie, spostrzega w jej wzroku niepewność, obawę, jakieś wyczekiwanie czegoś strasznego.

Poczekaj piękna pani!... Błyska mu nagle myśl.

i rozszerza się we wszystkich warstwach i wszędzie powołuje robotników pod wspólny sztandar, do wspólnej pracy. Nie przedstawiciel i przewodnicy, ale robotnicy prowadzą sprawę narodową. Ci, którzy na czele stoją i noszą nazwę przedstawicieli są tylko echem żądań i głosów powszechnych.

W sprawie przebudzenia narodowego Szląska nie widzimy ani jednego wielkiego człowieka, w zwykłem pojęciu historycznem, tj. człowieka, któryby powstał krzywdą i nieszczęściem innych, był nieraz sławą własnego narodu, a hańbą — ludzkości. Łatwo byłoby do tej kategoryi zaliczyć Napoleonów, Moltkich, Bismarków, Murawiewów (wieszatiela) i wielu innych. Wielką, w znaczeniu humanitarnem, była na Szląsku cała masa ludowa, która ideę narodową, tkwiącą w niej, wypielęgnowała i rozpoczęła na jej podwalinach nową budowę.

Zaszczyt i sława należą się ludowi szląskiemu i tym wszystkim pracownikom, którzy dla idei narodowej pracowali, nie roszcząc sobie żadnego prawa do przewodnictwa. Wodzowie stoją wprawdzie na czele, biorą udział w walce, swoją część do zwycięstwa przynoszą, ale nie oni zwyciężają. Zrozumieli to Grecy, kiedy po bitwie pod Maratonem odmówili tryumfów Milcyadesowi. „Gdybyś był sam zwyciężył Persów, mógłbyś używać zaszczytów!“

W sprawie zwycięstwa na Szlązku niema także tryumfatorów, którzyby wspaniałe wjazdy odprawowali; którymby wawrzyny wkładano na skronie, ale wielu bardzo w dziejach odrodzenia zapisało się pięknemi głoskami zasługi i pracy, a nazwiska ich tak są spojone ściśle z tą chwilą, że z pamięci ludzkiej i dziejów nic ich wymazać nie zdoła. Oni wspólnemi siłami, w różnych końcach i stronach tego kraju podjęli pracę odrodzenia, opierając ją prosto i bez żadnych krasomówczych ozdób na prawie natury, na prawie do życia człowieka, społeczeństwa i narodu, nie wdając się z tymi, którzy nie chcieli słuchać, zresztą w żadne wywody praw politycznych i narodowych. Ziarno było w duszy niedobitków z pogromu dziejowego, chwila stosowna do skiełkowania przyszła, a robotników, rozumiejących doniosłość tego zadania nie zabrakło.

Jednym z takich robotników jest Jan Kubisz.

Wydało mi się rzeczą niezbędną prawie uwagi powyższe poczynić, zanim zacznę mówić o osobistości, która także cząstkę swojej pracy dla dobra publicznego złożyła. Czytelnik nasz, przyzwyczajony do wielkich wyrazów, do nazwisk wielkich ludzi, których imiona związane są zwykle z chwilami szczęścia lub nieszczęścia narodów, mógłby się spodziewać, że mu przedstawię geniuszów i bohaterów — nieznanych. Nie, pragnę tylko zapoznać z czytelnikiem jednego z tych, którego praca bardzo drobna, który do szczytów literackich nie sięgał nigdy, do górnych myśli nie rwał się, ale pomimo to był i pozostał owym robotnikiem historycznym, który długo dźwigał na swoich ramionach ciężar jakiś. Nieraz może spragniony, głodny, z sił opadły, jak żołnierz, długim pochodem znużony, narzekał na ten ciężar, ale niósł z poczucia obowiązku; aż potem dopiero przekonano się, że on dźwigał najdroższy skarb swego narodu — żywe słowo.

Takim przedstawia mi się Jan Kubisz.

Urodził się on w pamiętnym roku 1848 w Końskiej (Końska) pod Cieszynem, z rodziców, należących do stanu wieśniaczego.

Krótkie te słowa zawierają dużo treści i są poniekąd kluczem, za pomocą którego możemy otworzyć przejście do duszy poety. Tkwią w nich dwa wypadki — jeden doniosłego znaczenia politycznego, drugi — rodzinnego, a obydwaj złożyły się niezawodnie na to otoczenie moralne i umysłowe, którego wpływ w życiu i poezyi dostrzedz można. Hasła wolności, z takiem weselem, pełnem nadziei, rozbrzmiewające w Europie, różnemi drogami wpadać musiały i pod wiejską strzechę Kubiszów, ztąd przedostawały się do młodocianej duszy dziecka, obdarzonego większą od innych wrażliwością. Ten nieświadomy posiew kiełkował poza sferą rodzinną, pod kierunkiem i wpływem obcym i przerabiał się stopniowo w mniej szerokie, ale pożyteczniejsze pragnienia lepszej doli dla tego kraju, który obejmował mały horyzont Księstwa Cieszyńskiego.

Wieś i jej życie w najobszerniejszem znaczeniu wycisnęły na duszy poety daleko większe piętno indywidualizmu, niż doktryny polityczne i rozbudziły miłość do tych wszystkich haseł narodowych, w obronie których stanął później zarówno Jan Kubisz, jak i inni. Na wsi był świat na wskroś polski i na wskroś ludowy. Jak w całej Polsce, tak i tutaj zapewne polskość i narodowość nie przechowywała się w idei, w literaturze, sztuce, dziejach, w tych czynnikach, które wytworzyły się skutkiem życia politycznego państwowego, lub tradycyi dziejowych, — ale w języku, jako najpotężniejszej sile odrębności szczepowej, w poezyi i literaturze ludowej, które będąc wytworem tego języka i ducha narodowego, tworzyły same dla siebie świat zupełnie samodzielny. Nie mając dopływu soków żywotnych z organizmu państwowego, bo takiego organizmu już nie było, świat ten zasklepił się sam w sobie i nie dopuszczając do rodziny pierwiastków obcych, a nawet walcząc z niemi, zdołał tę samodzielność przechować, ażeby z czasem, gdy się ona wzmocni, znaleźć dla niej łączniki ze wszystkiemi arteryami życia narodowego, stanowiącego odrębną całość etnograficzną.

Miejsce swego urodzenia i warunki, w jakich się wychował, opisał sam poeta.

Dom mój ojczysty stał nad samym brzegiem
Olzy, co swoim wartkim, srebrnym biegiem
Spieszy równiną za Odrą daleką.
Przy chacie lipa, a pod jej opieką
Tak było dobrze tej rodzinnej chatce
I tak bezpiecznie dzieciom, ojcu, matce,
Jak pod wszechmocną dobrą ręką bożą!
— — — — — — — — — — — — —

I tu mi matka pierwszy pacierz kładła
W dziecinne serce, tu mię abecadła
Uczył mój ojciec, a dziaduś sędziwy
Uczył ztąd biegać na rodzinne niwy — —
— — — — — — — — — — — — —

I kędy warczy rączy kołowrotek
Ojczystej pieśni posłuchałem zwrotek.
— — — — — — — — — — — — —

Tych cudnych bajek o strachach i czarach,
Duchach zaklętych w podziemnych pieczarach,
Co skarby dają temu, co ich pragnie,
O tańcujących nocnicach na bagnie,
I o topielcach w głębokiej zatoce
I o strzygoniu, który w pewne noce
Odwiedza chaty i w okna łopoce — —

---

— Pytasz się czemu u was nie byłem? Czułem się przygnębiony. Wiesz, że jestem wrażliwy. Odebrałem smutną wiadomość, pozostawałem pod jej wpływem i bałem się zetknięcia z ludźmi.

— A więc to dawny twój spleen! Kiedyż ty się z niego wyleczysz mój ty mrukupesymisto! Zrób tak jak ja — ożeń się.....

— Taak? — odpowiada przeciągle. — A pani czy sądzisz, że dobrze się ożenić?

Zwraca się do Etelki i zatapia się z całem wytężeniem w tej pięknej twarzy, widzi jak lekki kurcz chwyta jej usta. Pytana odpowiada spokojnie, równo, chłodno.

— Nie umiem radzić.

— A! — lekkie skinienie głowy.

— Lecz słuchaj, — woła Lorys — jakaż to ta twoja smutna nowina?

— Właściwie nic ona ciebie nie obchodzi, — nie znasz tych osób. Otóż jeden z moich znajomych, baron Binaczek, Węgier — nie znasz go — nieprawda?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Więc ów baron ożenił się przed kilku laty. Potem przekonał się przypadkiem, że żona go oszukuje, — nie wiem na pewno, czy sam się o tem dowiedział, czy też który z przyjaciół dostarczył mu dowodów.

— I cóż dalej? Opowiadasz jakbyś był senny.

Pan tajemnicy przysłonił ręką oczy, aby mógł niepostrzeżenie paść oko widokiem Etelki. Jest przekonany, że od chwili wymówienia ostatnich jego słów, kobieta ta wije się w moralnych bólach.

— Tak — wycedził wreszcie — czuję się też strasznie zmęczony.

— I co się potem stało? — pyta Lorys.

— Ha! właściwie nie wiele, kochanek baronowej był to człowiek bez czci i wiary, nie godzien uderzenia prętem, a cóż dopiero kuli. Więc baron zabił ją, a że nie mógł znieść hańby, i siebie. Nie prawda, że głupstwo zrobił?

— Hm! nie podzielam twego zdania. W jego miejscu pewno nie postąpiłbym inaczej. Lecz dziwi mnie, że nic o tem nie czytałem w dziennikach?!

— Nie uważałeś. Była też tylko krótka wzmianka. Pani z pewnością czytała?

— Być może — wykrztusiła Etelka. Głos jej dźwięczał jak ochrypły.

— Taak! Widzisz Lorysie, żona twoja o tem wie. Ostatnie wyrazy podkreśla intonacyą głosu.

— To jest, — przerywa drżącym głosem Etelka — nie twierdzę tego na pewno.

— A cóż pani na to wszystko mówi?

— Ja? — Ach Boże!... — próbuje być objektywną i chłodną, a trwoga targa nerwami. W głowie jej się mąci, ona wie, do czego rozmowa zwrócona, lecz nie wie, jak się skończy.

— Ja? istotnie nie zastanawiałam się nad tem, nawet nie uważałam na cały przebieg... Zresztą Lorys już powiedział, co myśli, ja zgadzam się na jego zdanie.

— A! — lekkie skinienie głowy.

W tej chwili Lorys ujął mściciela za rękę.

— Więc to było przyczyną twego smutku. No, rozwesel się i chodź na cygaro do mej kancelaryi.

Poszedł z postanowieniem, że nie powie nic, poszedł z przekonaniem, że ta się wić będzie z trwogi podczas ich rozmowy. Oczy Etelki zagrały strachem.

— Pójdę z wami, pragnę towarzystwa!

Lorys uśmiechnął się uszczęśliwiony.

— Pójdź!

* * *

Wyszedł od nich. Nie powiedział nic i nie powie nic, lecz tego drugiego spoliczkuje gdziebądź... i zabije. On czuje, że ręka go nie zawiedzie.

Oto był ten świat ludowy, w którym się chował Jan Kubisz i śród którego miłość dla ziemi ojczystej pielęgnowano.

A prządka snuła ducha złote nici
Z pieśni, powieści ojczystych by ze lnu,
A choć nić była nikłą i subtelną,
Przeć się nadała na wątek żywota.

(*Pamiętnik Czytelni ludowej w Cieszynie.* Cieszyn 1887.)

Poeta rozumiał był doskonale, jak wiele był winien tym „złotym nitkom“ świata ludowego, jaka jest w nich siła odporna i dlatego w wieku dojrzałym już odzywał się do kolegów nauczycieli szkół wiejskich: „A kiedy długie nadejdą wieczory i tajemniczemi otoczą ziemię zmroki, wtedy przy lampy połysku opowiadaj gadki ojczyste. Wprowadzisz przez to dzieci w dziedzinę wyobraźni i przypniesz niejako skrzydła duszy twej dziatwy, że niemi pobują (bujać będą) po swojskich niwach. Wierzcie mi, że ja się tem opowiadaniem gadek w dzieciństwie rozmarzyłem na całe życie. Opowiadanie gadek ma i dla nauki w szkole wielką wartość. Dzieci nabywają przez to smaku i zapału do nauk, stają się lepszemi i szlachetniejszemi, ich umysł rozbudza się i rozwija szybko. Z większą dziatwą można urządzac śpiewy narodowe. Tą myślą powodowany urządziłem swego czasu „prządki“. Gdyby je zaprowadzono w każdej gminie zimowemi wieczorami, przyczyniłyby się wielce do rozbudzenia życia narodowego, ale również do zebrania poezyi ludowej, tej „arki przymierza między dawnemi a nowemi laty“. — (Odczyt w „Polskiem Kółku pedag.“, w Wiśle na Czarnym, 1895).

Myśl godna istotnie urzeczywistnienia.

Ze świata na wskroś ludowego, pełnego ciepła rodziny, poezyi i miłości, przeszedł Kubisz wprost do szkoły *niemieckiej*, bo innych dla polskiej dziatwy nie było; uważano ją za przeznaczoną na zagładę i gwałtownie niemczono, ażeby co rychlej tego czynu cywilizacyjnego dokonać.

Na wstępie do nowego świata, o którego wielkości miał się poeta później dopiero dowiedzieć, dano mu za przewodnika do ręki książkę z *kogutem* — tak nazywano elementarz niemiecki, używany na Szlązku, mający na okładce godło koguta, symbol budzenia do wczesnej nauki. Istotnie, kogut niemiecki jednym zwiastował przebudzenie, drugim — śmierć i zagładę.

Jak się nauka szkolna odbywała, najlepiej nas objaśnią własne słowa poety.

Głównym celem dawnej szkoły ludowej — powiada on — była nauka języka niemieckiego. Wszystko się do niej odnosiło i tak było urządzonem, aby ją wspierać i umacniać. Chłopiec, nauczywszy się jako tako czytać, uczył się następnie słów niemieckich, czyli wokabuł, potem zaś rozmów, czyli „geszprechów“. Skoro w „geszprechach“ o tyle postąpił, że mógł na najprostsze pytania po niemiecku odpowiedzieć, obowiązany był pod grozą kary, używać tylko języka niemieckiego. W tym celu wpisywano go równocześnie na s i g n ę. Była to mała drewniana tabliczka z rączką w formie kijanki, powleczona białym papierem i zapisana nazwiskami tych wszystkich, którzy byli obowiązani mówić po niemiecku. Za każde słowo wymówione po polsku, pisano kreskę na signie, a za każdą kreskę bito z końcem tygodnia, t. j. w sobotę, rózgą. Ten zaś, który miał najwięcej kresek, oprócz plag otrzymanych musiał nadto signę, uwiązaną na sznurku i przewieszoną na plecy, zanieść do domu i na nowo białym oblec papierem, aby ją następnie w poniedziałek oddać nauczycielowi. Można sobie wyobrazić śmiech i urągania współuczniów, które biedakowi towarzyszyły do domu. Była to największa kara i hańba, jaka chłopców spotkać mogła. Dziś już signy nie ma, ale duch systemu, stawiającego język niemiecki na czele nauki szkolnej, przetrwał dotychczas, a gdzieniegdzie z spotęgowaną rozwielmożnił się siłą.

Gdy się przypadkiem zebrali w szkole tylko tacy uczniowie, którzy obowiązani byli do rozmawiania z sobą po niemiecku, panowała zazwyczaj cisza, z tej prostej przyczyny, że tym językiem mówić nie umieli. Skoro jednak pojawił się taki, który nie był jeszcze obowiązany mówić po niemiecku, rzecz się natychmiast zmieniła. Obstępowali go dokoła i zaczynali ze sobą rozmawiać po polsku, używając kolegi za pośrednika lub n i e m e g o tłomacza, bo z nim po polsku wolno im było mówić. Jan zwracał się wówczas do pośrednika i mówił: „Powiedz Pawłowi, żeby mi oddał książkę“. Zagadnięty w ten sposób ubocznie Paweł, przystępował z kolei do pośrednika i odpowiadał: „Powiedz Janowi, że mu książki nie oddam, bo nie jest jego“. W ten sposób porozumiewali się wszyscy po polsku, nie przekraczając przepisu, nakazującego im rozmawiać z sobą po niemiecku; nie rozmawiali wprost ze sobą, ale p o ś r e d n i o, przez owego niemego tłomacza, z którym wolno im było mówić. Jeżeli się jednak który pomylił i zamiast przez pośrednika, odezwał się po polsku wprost do współucznia, z którym powinien był mówić po niemiecku, natychmiast wołano: „hat polnisch gesprochen“ i dostawała mu się kreska na signie, wypłacana z końcem tygodnia — rózgą.

Oto w jaki sposób wysilał się niemiecki umysł i niemiecka wyższość cywilizacyjna, ażeby zmuszać polskie dzieci wstydem i rózgą do nauki obcego im języka. Ale to jedna tylko strona tego dziwnego sposobu cywilizowania przemocą; druga jest daleko wstrętniejszą — jest to obniżanie, a nawet unicestwianie wszystkiego co polskie, z wyraźną tendencyą zbudzenia wstrętu do tego, a podnoszenie natomiast na najwyższy szczebel kultury niemieckiej.

Piękna ta praca rozpoczynała się już od „koguta“ ale nabierała dopiero znaczenia doniosłego, stając się systemem niejako, w szkołach średnich. Taką drogę przeszedł Jan Kubisz.

Powiada on:

Lecz mię dziwiło, czemu nie uczono
Nas historyi n a s z e j ziemi? Pono
Tu u nas były w dawnych, dawnych czasach
Tylko zwierzęta w wielkich, ciemnych lasach.
A, jak wiadomo u dzikich bestyi
Nie piszą nigdy kronik, historyi — —

— — — — — — — — — — — — —

Z tego powodu niepotrzebną rzeczą
Było wspominać o tym naszym kraju,
Jego narodzie, życiu i zwyczaju.
Potem się zaraz zkądsiś ludzie zbiegli,
Lasy wycięli i pola zalegli.

---

Gabryela Zapolska.

# PIELGRZYMKA
# PANI JACENTOWEJ.

SZKIC.

— Żeby cię wszystkie cholery zatłukły tak... pońdę.

— Nie pońdziesz, mówię ci, jakem uczciwy! Skórę ci zgarbuję a zostaniesz w domu.

Jacentowa parsknęła śmiechem.

— Skórę mi zgarbujesz? Ty psiakrewska niedojdo? Czem? Garściom? Może miotłom?... Co?...

Jacenty spojrzał z góry na żonę.

Chłop to był setny, wielki jak dąb, choć pochyło się trzymający, o długich rękach orangutanga, zwieszających się miękko i leniwie po obu stronach jego postaci.

Postąpił kilka kroków i machnął miotłą, którą wlókł za sobą jak kometa ogon. W kącie dziedzińca kilka kur chudych pokrytych kojcem zagdakało ze strachu.

Tymczasem Jacentowa, siedząc na progu drzwi, z rękami splecionemi na kolanach, chichotała, złośliwie mrugając maluchnemi oczkami, po nad któremi pasma lśniących od pomady włosów kleiły się w wężowate smugi.

— Zgarbujesz mi skórę — piszczała cieniuchnym głosikiem — a to się przechwala!.... Niby ty jak każdy inny masz siłę i chętkę jaką... A toć cholero jedna, jeżeli odprawię tę świętą pielgrzymkę, którą sobie ślubowałam, to może i tobie wyńdzie taka odpustowa ochwiara na pożytek... Może cię Najświętsza Panienka odmieni i lenia z ciebie wypędzi, a to nietylko, że mi zagradzać drogi nie powinieneś, ale wyprawić jeszcze i Bogu polecić!..

Mówiła jednym tchem, bez przerwy, jakby się nauczyła lekcyi i słowa jej szemrały cicho a dobitnie wśród ciasnej a smrodliwej przestrzeni podwórka. Jacentowa nie otwierała ust, mówiąc; sine i wązkie wargi zaciskały się prawie. Nozdrza spłaszczonego nosa nie poruszały się, to samo i deka piersiowa, pokryta cienką tkaniną perkalowego kaftana. Jedynie oczy migotały i latały pod zamkniętemi silnie brwiami i skóra na olbrzymiem, wypukłem czole marszczyła się w masę fałd jak zwoje zbyt obszernego płaszcza. Kobieta była chuda, mała, mizerna, czarna, ze skórą spaloną, a mimo to lśniącą. Ot, mucha wobec olbrzymiej postaci Jacentego. A przecież chichotała ciągle jak mała małpka skurczona na progu izby. Resztki zachodzącego słońca wydobywały z ciemni jasną barwę jej kaftana i kładły migocący punkt na samem środku jej czoła. Ot, jak dukat złoty ruchomy i nieuchwytny, migocący tuż pod pasmami ciemnych włosów.

Jacenty machnął raz jeszcze miotłą i podszedłszy ku kątowi dziedzińca, gdzie skład był wszelakich rupieci, wielką polewaczkę z łoskotem i brzękiem wydobył.

Nie mówiąc ani słowa, ku studni podszedł i wodę do konewki ściągać zaczął. Na odgłos plusku wody, zadudniło w głębi izby i jak bomba z ciemnego wnętrza domu wyleciała na dziedziniec mała dziewucha bosa i zasmolona, w perkalowej sukience i z cieniuchnemi warkoczykami po obu stronach olbrzymiej jak dynia głowy.

Z rękami rozczapierzonemi pędziła w stronę studni i nie zatrzymała się aż w brylantach wody, którą całą kaskadą rozpryskiwała się dokoła..

Jacentowa uderzyła się po kolanach.

— Julko!... Wiedźmo zatracona!.... — zawołała — pońdziesz precz od wody... kieckę na nic zamoczysz, flądro jedna!...

Lecz Julka, nazwana „flądrą“, kręciła się jak wrzeciono w pyle wodnym, obsypującym ją ożywczym, chłodnym deszczem. Żółta głowina pokryta rzadkiemi włoskami migała jak olbrzymia bania wśród wodotryska.

— A odpędź ją — krzyczała matka.

Jacenty postawił konewkę i pochmurnie na dziecko spojrzał.

— Poszła! krzyknął wreszcie, lecz Julka kręciła się wciąż wyciągając brudne ręce, żółte i jakby napuchłe, ręce skrofulicznego dziecka....

— Zdziel ją bez łeb!... — Wołała Jacentowa.

Z niemi mój ojciec razem przywędrował,
Osiadł nad Olzą i domek zbudował.
(*Pamiętnik Czyt. lud. w Cieszynie.* 1887.)

Tak ironicznie tłomaczy J. Kubisz poglądy niemieckich cywilizatorów na kraj polski i ludności.

W takich ciężkich warunkach moralnych rozpoczął poeta szląski życie szkolne. Wyniósł z domu wielki zapał do nauki, serce pełne religijnych uczuć, a pamięć przyświecała mu na tej żmudnej i jałowej drodze, na którą wstąpił, poezyą i gadkami. Pod grozą signy, plag i pod opiekuńczemi skrzydłami niemieckich belfrów rozpoczął naukę, trybem wskazanym nieco wyżej, w Cieszynie. Nie doprowadził jej dalej jednak jak do ukończenia tamże niższego gimnazyum. Jakie były przyczyny do przerwania nauk gimnazyalnych — nie wiem, dość, że je przerwał — czego później przez całe życie żałował i uskarżał się, że nauk uniwersyteckich nie pobierał. Kto wie, może i lepiej się stało. Uniwersytety, szczególnie w dawniejszych czasach, dawały wprawdzie naukę, ale w zamian za nią łamały i koszlawiły charaktery, wciągając te ofiary światła w krąg życia i pracy narodowej niemieckiej. Rzadko kto zdołał z uścisków wabiącej syreny wyjść cało i czysto. Łatwo możemy policzyć wszystkich, którzy poświęcili pracę swoją i siły własnemu społeczeństwu, ale trudno zrachować zmarnowanych i zbłąkanych. Niejeden —

Później się zewlókł z chłopszczyzny
I zaczął po pańsku się nosić,
A że polskie miano mniej błyska,
Podług panującej maniery
Ze swego polskiego nazwiska
Powykreślał polskie litery,
Co się też zupełnie pochwala,
Za co cześć zyskał niemałą —
Bo przedtem się pisał Cińciała,
A teraz się pisze Tintala!
(*Śpiewy starego Jakóba.* Cieszyn. 1889.)

J. Kubisz uniknął tego. Po ukończeniu niższego gimnazyum w Cieszynie, wstąpił tamże do seminaryum nauczycielskiego, a od r. 1867 jest nauczycielem ludowym w Gnojniku, gdzie i dotychczas pozostaje.

*Fr. Rawita.*

---

# Miłość w poezyi.

(Pogadanka.)

Wypisawszy taki tytuł, przestraszyłem się go sam i pomyślałem sobie: „Du sprachst ein grosses Wort gelassen aus“...

Wszak pod tym tytułem możnaby napisać książkę choćby tak obszerną, jak razem wzięte *„L'amour“* Michelet'a i *„Psychologie de l'amour“* Stendhal'a. Taki przedmiot — w małej pogadance — jak to pomieścić? Właściwie byłaby na to jedna rada: zmienić tytuł, ścieśnić go i ograniczyć zbyt obszerny przedmiot. Ale ten, który wypisałem, brzmi dobrze, a wiadomo, ile znaczy dobry tytuł: *exemplum* powieści Jokay'a, który ma prawdziwy geniusz do tytułów.

Zostawiam więc: „Miłość w poezyi“ z tem zastrzeżeniem, że piszę pogadankę, w której wprawdzie chciałbym powiedzieć trochę więcej, niż mówi Bellac ze „Świata nudów“, ale w której nie zdołam powiedzieć, coby się powiedzieć dało, gdybym pisał kilkutomowe dzieło.

Pisząc takie dzieło trzebaby w I-ym tomie odpowiedzieć na pytanie: „czem jest miłość w ogólności i w szczególności? w II-im: „czem jest, czem była i czem będzie poezya?“

Jednem słowem same pytania, w rodzaju owej sławnej kwestyi, jaką postawił sobie Piłat: „Co jest — prawda?“ W dalszych tomach dopiero należałoby przechodzić wiek po wieku, poetę po poecie, pisarza po pisarzu, i traktować wyczerpująco miłość w poezyi starożytnej: greckiej i rzymskiej, w poezyi średniowiecznej, u Trubadurów i Minestrelów, u Petrarki Danta, w poezyi Odrodzenia etc, aż do romantyzmu i poezyi dzisiejszej. Ile tomów — i jaka piła!

Nie — doprawdy wolę pisać pogadankę. Ale od czego zacząć?

Od tego, że niema miłości bez poezyi, a poezyi, bez miłości?

Wolę nie bawić się w puszczanie tak tanich aforyzmów. Bo wprawdzie nie można zaprzeczyć, że miłość, jako temat poetycki,

ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie immer neu...

ale spostrzeżenie to „ist auch eine alte Geschichte“, tylko „sie bleibt nicht immer neu“.

Zostańmy na razie przy Heine'm — jeśli mowa o miłości w poezyi, to przedewszystkiem na myśl przychodzi „Der blasse Heinrich“. Ileby o nim samym można powiedzieć, gdyby już o nim tyle nie powiedziano! Niemcy opisali na wszystkie boki każdy czterowiersz z „Buch der Lieder“, ale mniejsza o Niemców — napiszę co myślę, a jeśli się w zdaniu z jakim uczonym Niemcem spotkam, tem większy dla mnie zaszczyt.

Otóż w Heinem zachwyca mnie:

1°) Przedziwna, cudownie melodyjna forma, tak, iż pod wiersz Heinowski kompozytorowi *„difficile est musicam non scribere“*, — jeśli wolno tak przekręcić łacińską sentencyę. Nieregularność rytmiki, czy rymów, u Heinego tak częste, są zawsze umyślne, używa on ich świadomie jako dysonansów, łamiących monotonię tam, gdzie nagle myśl łamie się i przeskakuje w ton inny.

2°) Bardziej jeszcze niż formą czaruje Heine wdziękiem i siłą, a nadewszystko szczerością uczucia. Nigdy fałszywego tonu, nigdy przesady, nigdy tych niegodziwych patetycznych frazesów, tych frazesów które — nawet, gdy się je cicho czyta — robią wrażenie, jak gdyby się słyszało nad uchem wymawiane sztucznym, gardlanym głosem prowincyonalnego aktora. Któż u Heinego znajdzie jeden taki wiersz? Jeżeli każdy poeta ma w swych wierszach jakiś odrębny ton głosu, to w głosie Heinego słychać naprawdę łzy.

3°) Najpiękniejsze i najcudowniejsze jest w nim to, że formę tę mistrzowską tak umiał związać z treścią, z uczuciem. Wiadomo, że zanim napisał jeden czterowiersz *„z Buch der Lieder“*, układał go nieraz całemi dniami, leżąc na kanapie z zamkniętemi oczyma. Może miewał wówczas

„.....na twarzy taki wyraz boski,
Jak wieszcz, co pisząc wiersze liczy zgłoski“.

Zgłosek prawdopodobnie liczyć nie potrzebował, ale że słowa śpiewne i rzewne dobierał i ważył, że przez banalne niby efektowne frazesy przebijał się do najprostszych, najnaturalniejszych zwrotów — to pewna. Może się to wydaje dziwnem, ale

---

Lecz już z wnętrza izby wylazło nowe, pokraczne stworzenie, blade i maluchne, czołgające się na czworakach, z taką samą wielką żółtą głową jak dynia i z trudem dźwignąwszy się na wygięte w pałąk nogi, dążyło ku tej drugiej, całej brylantowej od rosy wodnej czepiającej się jej nędznych włosów i wyciągniętych rączek. W brudzie zaduchu i ciemnicy zrodzone i chowane istoty dążyły instynktownie do światła, chłodu i wody, tryskającej promienną strugą wśród smrodliwej ciemni dziedzińca.

Lecz równocześnie oboje rodzice, podnieceni i podrażnieni sprzeczką, rzucili się jakby na komendę na te drobne ciała pokurczone i nędzne, dźwigające się z takim trudem od ziemi.

But Jacentego obalił na ziemię Julkę, pięść Jacentowej przygniotła do ziemi to drugie stworzenie.

Poczem Jacenty porwawszy za konewkę zniknął w głębi a Jacentowa wpadła do izby i zaryglowała się wewnątrz.

Na dziedzińcu, na szarem tle bruku, obok skrzyni ze śmieciami, przypadło do ziemi młodsze dziecko, zanosząc się z płaczu.

Nieco dalej, pod pompą, wśród kałuży wody, leżała Julka, cicha, z zaciśniętemi ustami.

Po nad niemi, nad temi atomami ludzkości, wznosiły się mury kamienicy, otaczające fortecznym murem maluchną przestrzeń dziedzińca. Olbrzymia drewniana rynna przeznaczona do zlewania nieczystości, żółciła się w kącie jak potworna gromnica.

Na jednem z wyższych pięter jakaś żydówka wywiesiła czerwoną pierzynę. Zdaleka słychać przyciszony łoskot jadącej dorożki lub głos sługi śpiewającej godzinki.

Nareszcie dźwignęła się z ziemi Julka i, kiwając swą olbrzymią głową, ku młodszej siostrze iść zaczęła.

— Cyt!.. Cyt!... Karusia;... — wymówiła cichutko.

Karusia umilkła i załzawione swe oczy w idącą siostrę utkwiła.

Były zupełnie do siebie podobne, obie brzydkie, skrofuliczne, smutne, brudne, napiętnowane od kołyski nędzą.

Obie miały jednakowe, wielkie, błękitne źrenice, załzawione i pełne nieokreślonej tęsknoty, usta sine i malutkie, uszy duże, żółte i odstające jak wachlarze, szyje cienkie i szramami szkrofuł poznaczone.

Tylko Karusia była o wiele mniejsza i nędzniejsza od Julki, która zdawała się być zrodzoną w jaśniejszej i czystszej jeszcze atmosferze niż ta, jaka panowała wśród ścian dziedzińca.

Julka usiadła na ziemi obok Karusi i ująwszy dziecko w ramiona, przytuliła do swej maluchnej piersi.

Karusia łkać przestała i tylko od czasu do czasu wzdychała ciężko, a Julka wtedy delikatnie jej włosy gładziła.

I tak siedziały obie długo w swych brudnych różowych sukienkach na szarym tle kamieni, malutkie a tak już ogromem chorób i strapienia przygniecione — w zaraniu życia, jak braki społeczne na rzeź niedoli wysortowane i zrządzeniem losu piętnem hańbiącem znaczone.

* * *

Jeszcze przed świtaniem zerwała się Jacentowa z pościeli.

Nie mogła przecież zaspać dnia dzisiejszego. O piątej bowiem kompania wyrusza do Studzienki z pielgrzymką do Panny Najświętszej, cudami na mil kilkanaście dokoła słynącej.

Pewnej nocy, dawno już dosyć, bo niemal zaraz po narodzeniu się Julki, Jacentowa zbudziła się nagle, czując jakby szarpnięcie prawego ramienia.

— Kto to?.... zawołała, siadając na łóżku.

Lecz odpowiedziało jej tylko chrapanie Jacentego, który dzień cały rąbiąc lód, spracował się ciężko i teraz spał snem kamiennym, wetknąwszy nos w czerwono kratkowany perkal powłoczki poduszki.

Niedaleko łóżka stała kołyska, pod której bieguny podłożono kilka tarcic. W komórce bowiem, służącej za mieszkanie stróża, wilgoć była przerażająca i podłoga gniła, rozpadając się jak trup w wilgotnym grobie.

W kolebce spała Julka cicho, nie oddychając prawie, mając ciało przytłoczone ciężarem olbrzymiej głowy, która czyniła z

tak jest rzeczywiście: do naturalności i prostoty dochodzić trzeba w pisaniu; człowiek to takie cudaczne stworzenie, że, choćby najszczerzej, najgłębiej czuł, w chwili gdy weźmie pióro, traci szczerość i prostotę, i musi dopiero odszukiwać ich w sobie gdzieś bardzo głęboko.

4°) Wielkość Heinego leży i w tem, że, jak mało kto umiał wciągnąć w miłosne swe pieśni całą przyrodę jako tło, i otoczenie, a zatem tylko po kawałku, po trosze, kilkoma rysami: tu grzęda kwiatów. tam jedna lipa, ówdzie jedna kwitnąca gałąź bzu pełna słowików. Szerokich, wykończonych krajobrazów prawie że nie ma, przynajmniej w „*Buch der Lieder*", ani w „*Neue Gedichte*", przyroda akompaniuje tylko pieśniom miłosnym.

Chciałbym napisać dalej: 5°) — ale wstrzymuje mnie myśl, że takich punktów możnaby wyliczać bez końca i ostatecznie nie wymieniłoby się wszystkiego, co w małych wierszach Heine'go jest wielkie i piękne. Zresztą, w tej chwili przypomina mi się, może nieco zapóźno, mój poczciwy gimnazyalny profesor zoologii, u którego przy każdej sposobności było 1°), 2°), 3°), 4°), itd. bez końca. Kto wie, czy staruszek nie zazdrościł czasem swoim wypchanym małpom tego, że mają po dwie pary rąk — suma czyni dwadzieścia palców.

Od profesora i małp wracam do poezyi i miłości.

Otóż w liryce miłosnej oprócz melodyjnej formy, jak w każdej innej poezyi, trzeba więcej, niż w innej poezyi, prostoty i szczerości, uczucia i serdeczności w tonie: jeśli przesada, sztuczność i deklamacyjna napuszystość, są zawsze „obrzydliwością w uściech moich", — jak powiada Wujek, to już w poezyi miłosnej muszą być do niezniesienia. Szczerość: naturalnie naprzód trzeba czuć to, co się pisze — to szczerość życiowa, powtóre zaś trzeba napisać to, co się czuje, i to nie więcej, niż się czuje i nie inaczej jak się czuje — to szczerość artystyczna, poetycka.

Jak tę szczerość wydobyć z siebie?

Przedewszystkiem, panie poeto, nie chciej robić nadzwyczajności ani z siebie, ani ze swej miłości, ani ze swej poezyi. Jeśli sobie powiesz: „Teraz napiszę takie wiersze, że się „ona" pod wrażeniem skręci nakształt korkociąga" — to wszystko przepadło., Ona" i czytelnicy „skręcą" się, ale chyba od śmiechu. Przeklinać, ryczeć, tupać, drzeć włosy z głowy, tarzać się po ziemi w desperacyach miłosnych, albo zmobilizować od kilku strof cały wszechświat, ziemię, sfery niebieskie i rozdymać tem wszystkie swoje wiersze i szturmować w ten sposób z hukiem i pompą do serca biednej kobiety — to poezya zarówno łatwa jak i niepoetyczna.

Uspokój się jegomość — panie poeto. Sprobujmy inaczej. Kochasz na prawdę? Bardzo kochasz? Tak jak Abelard? jak Romeo? Jak Werther? Nie to wszystko są reminiscencye literackie — Romeo, Werther? Co nam potem? Kochasz ją po prostu, po swojemu, jak tylko umiesz najbardziej. Nietylko ją kochasz — ale ją lubisz, tak ją lubisz. Chcesz jak najwięcej i najdłużej być z nią razem, tylko, że nie zawsze można. Chciałoby się jej tyle powiedzieć! Ale gdzie i kiedy? Idź do domu — i napisz to, cobyś jej powiedział. Przecież się na biedną pannę, czy panią nie krzyczy jakimś głosem, jak z beczki: „Kocham panią!" Nie zasypuje się jej całą górą porównań, obrazów, frazesów, jęków, przekleństw, wykrzykników. Im prościej, im ciszej, im szczerzej — tem lepiej. Biada człowiekowi, który idąc do „niej" układa na wschodach napuszyste dytyramby, a w przedpokoju przybiera sentymentalny wyraz twarzy. Na cóż więc te dytyramby i ten sentymentalizm w poezyi?

Powie mi kto: „A Romeo?" — Prawda — Romeo mówi dytyramby, sypie porównaniami, jęczy, tarza się nawet po ziemi. Tak, ale Romeo to prawie dzieciak — takim robi go Shakespeare, tak interpretują go wszyscy wielcy artyści, np. Rossi. Wszak ten mały Montecchi może niedawno jeszcze czuł to, co wypowiada Cherubinek, z „Wesela Figara": *depuis quelque temps je sens ma poitrine agitée, mon coeur palpité au seul aspect d'une femme, les mots* ***amour et volupté*** *le font tressaillir et le troublent. Enfin le beso'n de dire à quelqu'un: ,je vous aime" est devenu pour moi si pressant que je le dis tout seul en courant le parc... aux nuages, au vent...*" Potem, zamiast chmur i wiatru nawinęła mu się Rosalinda — więc się w niej podkochiwał, aż dopiero z Juliettą przyszło pierwsze prawdziwe uczucie. Prawdziwe, ale dziecinne jeszcze, pełne studenteryi, wykrzykników deklamacyi — zresztą ślicznych deklamacyi. W tych deklamacyach miłosnych Romea — jak to subtelnie wykazuje Klaczko, — tkwi także trochę reminiscencyi z trubadurów, ztąd szczegóły, które nam się mogą wydawać sztuczne, bośmy nie wyrośli na trubadurach, jak Romeo; podobnie sztuczną i wyszukaną może się kiedyś wydawać najszczersza, najgłębsza miłość ludzi dzisiejszych którzy mimowoli przejmują się Heine'm, Musset'em, Słowackim. Poezya miłosna danej epoki zabarwia zawsze potrosze miłość samą: człowiek, nie umiejący znaleźć własnego wyrazu na swoje uczucia, przejmuje wyraz ten z poezyi, jakiej się naczytał. A wreszcie, pewne gwałtowne historye, które wyprawia Romeo, tłomaczą się także niezwykłemi, tragicznemi dziejami jego miłości: kto się ożenił potajemnie, w dzień ślubu zabił człowieka i musi na wygnanie iść od młodej żony, a w dodatku ma lat dziewiętnaście, temu pozwólmy krzyczeć, targać się za włosy, tarzać po ziemi z rozpaczy.

Ale np. Mohort jest i starszy i hartowniejsze ma nerwy od tamtego dzieciaka i o trubadurach nie słyszał, i takich nadzwyczajnych zdarzeń nie przeszedł, nie powinienby więc wyprawiać takich awantur, jakie wyprawia po śmierci narzeczonej: porywa trumnę z ciałem i ugania się z nią po polach, że niczem Orland Ariosta, oszalały z rozpaczliwej miłości dla Angeliki

Tamten przynajmniej zwaryował co się zowie. Poprostu Pola nie było stać na prawdziwy, wielki liryzm i na głęboką psychologię rozpaczy — wymyślił nieprawdziwe, przesadne objawy uczucia i w pogoni za nadzwyczajnem wrażeniem dla czytelnika, przeciągnął tutaj strunę. Oczywiście, trudno przejść wszelkie rodzaje i odcienia miłości, jak ją maluje poezya: od elementarnych, półdzikich popędów, które upajają prostych, grubych bohaterów Homera, do mistycznych zachwytów Danta wobec Beatryczy; od zdrowych a zarazem już wydelikaconych uczuć Catulla do chorobliwych, erotycznych szałów Catulle Mendès'a i od

---

niej rodzaj potwora, przedwczesnego płodu, konserwowanego w brudnych słojach, na purpurą obciągniętych półkach wędrownych muzeów.

Jacentowa usiadła na łóżku i doznała nagłego uczucia szalonej trwogi. Przed jej oczyma zaczęły przesuwać się w zwartym szeregu białe kościotrupy, niosące na barkach trumny i wlokące za sobą długie prześcieradła.

Cała ohyda śmierci nieuszlachetnionej rozumną legendą, wraz z aparatem kościelnym, piszczelami wyszytemi na tle katafalkowego sukna, z „Salve Regina" śpiewanem nad otwartą jamą grobu, z całą potworną komedyą pogrzebu, obliczoną na szarpanie nerwami tych, którzy zostają — wypełniła teraz ciasne wnętrze izbebki.

Było to nagłe widzenie owej *śmierci* nieuniknionej a nieoczekiwanej i Jacentowa w spazmie szalonej trwogi, drżała teraz, cała wstrząsana jakby przedśmiertnym dreszczem.

Tuląc do piersi cały komplet medalików, ukrytych pod grubem płótnem koszuli, otwierała szeroko małe ślipki i nagle wyschłym językiem obracała w rozwartych ustach.

Wreszcie ze spieczonego gardła zdołała wykrztusić:

— Panno Najświętsza!... Ślubuję Ci odprawić pielgrzymkę do najbliższego świętego miejsca, niech jeno rana doczekam... i nie zamrę tak po ciemku przez świecy i pomocy ludzkiej!..

Nie zamarła — owszem, nazajutrz obudziła się zdrowa, lecz pamięć owego nocnego „stracha" pozostała już ciągle w jej umyśle i często, kładąc się wieczorem, drżała na samą myśl, że napad ów groźnych śmiertelnych widziadeł ponowić się może.

Jacenty opowieść żony przyjął pogardliwem wzruszeniem ramion i, splunąwszy, oznajmił, że baby to jak nie mają prawdziwego stracha, to go zełżą, byle językiem mleć i ludziom czas zajmować.

Trzy lata minęło, po Julce przyszła Karusia – Jacentowie z wilgotnej komórki przenieśli się do... komórki wilgotnej.

Jacenty zaczął pić i z kompanami do harfiarek zaglądać, Jacentowa nabrała „gęby" — zrobiła się „cięta", lecz zarazem wychudła, zczerniała i miała w dwudziestym piątym roku powykręcane ręce od reumatyzmu.

O pielgrzymce nie było mowy, Jacentowa bowiem najmowała się do posługi i do prania, rodziła dzieci, karmiła je, gotowała, chorowała, łatała odzież, biegała po szynkach i wywłóczyła z nich męża, robiła plotki, biła się z sąsiadkami, odmawiała i stręczyła sługi, katowała dzieci, wymyślała „handlom", zajmowała się „merdunkami", spełniała funkcyę denuncyanta przy boku „pana rządcego" — słowem, wieczorem zaledwie miała czas wykuksać dzieci, obetrzeć im nosy, nałożyć sobie na włosy trochę pomady, zjeść coś nie coś, wykłócić się z mężem i runąć na posłanie, wyciągając daleko po za sosnową ramę parę nóg zczerniałych, spuchniętych, często pokrwawionych lub od mrozu i brodzenia w ługu spękanych.

Naraz ów „strach" owa bojaźń śmierci powtórzyła się wśród nocy wiosennej jeszcze więcej wyrazista i przerażająca. Jacentowej tchu w piersiach nie stało. Przypomniała sobie ślub uczyniony i swe cudowne od śmierci ocalenie. Wstała z pościeli blada, z oczyma świecącemi i poszła na naradę do sklepikarki Bączkowskiej, osoby otyłej, pobożnej i do bractwa Adoracyi wpisanej. Obie uradziły, że pielgrzymkę odbyć trzeba a Bączkowska, jako osoba fachowa, doradziła Studzienkę, o mil kilkanaście odległą. Właśnie w czerwcu zbierały się kompanie, pobożnie i ze śpiewem i chorągwiami wyruszały do świętego miejsca.

Od tej chwili w komórce Jacentów rozpoczęło się piekło. Jacentowa dzień i noc mówiła „pońdę" — na co Jacenty odpowiadał „nie pońdziesz!" I ta mistyczna przyczyna niezgody tak rosła, potężniała codziennie, iż w wigilię wyruszenia kompanii, doszła do kulminacyjnego punktu naprężenia.

(Dokończenie nastąpi).

lekkiej, pogodnej miłości Anakreonta do smutnych, gorzkich i dziwacznych miłości u Ibsena — każdy z tego nieprzejrzanego tłumu poetów ma swój typ miłości, od innych odmienny, a dla siebie i swej epoki znamienny.

Ale widzę, że zaczynam wpadać w taki ton, jakgdybym pisać miał conajmniej wstęp do tego wielotomowego dzieła; z drugiej strony staje znowu widmo Bellac'a ze „Świata nudów". Może więc najlepiej będzie urwać, żeby nie było wielu tomów ani Bellac'a, ani — co najgorsza — nudów.

*Lucyan Rydel.*

# Żale krytyka.

Liczba istotnych adeptów sztuki przerażająco się zmniejsza u nas, gdy tymczasem tych, co pragną wedrzeć się w jej obręb (na wzór świeżej arystokracyi rwącej się do Almanach de Gotha) jest coraz więcej z dniem każdym.

Z masy tych, co powiadają dumnie o sobie: „my artyści", „my literaci", co nosa zadzierają w obec rzeszy „symplistów" i myślą, że z innej gliny są od nich ulepieni, nie wiele dałoby się wybrać dusz, nie napiętnowanych filisterstwem. Dla nich sztuka jest tylko najdogodniejszą formą używania, środkiem ułatwiającym robienie karyery, najkrótszą drogą do rozgłosu, wreszcie pracą dodatkową, kaprysem, słowem wszystkiem, tylko nie celem, któremuby się poświęcało najlepsze siły duszy i podporządkowywało nikłe rachuby i widoki „użycia".

To już nie dyletantyzm nawet, ale drobny wstrętny handelek, prowadzony w widokach natychmiastowego zysku pod płaszczykiem szczytnych haseł i dążeń niepowszednich. Nie służenie sztuce, ale wyzysk sztuki spotykamy najczęściej. Sztuka wymaga bezwzględnego oddania się jej celom, mozolnej pracy, nieustannego czuwania i wysiłków. Czy wielu u nas znajdzie się takich wśród tych, co rozkładają swe stragany w świątyni sztuki, którzyby odpowiadali wymaganiom, stawianym artyście? Wymagania tego rodzaju postawił kiedyś H. Balsac, w sposób nieporównany (Cousine Bette strona 193—195): „W sztuce najbardziej godną sławy jest odwaga, męstwo, o jakiem zwyczajny śmiertelnik nie ma wyobrażenia. Myśleć, marzyć, projektować piękne dzieła, jest to rozkoszne zajęcie. To palić cygara zaczarowane, to wieść życie kurtyzana, oddanego swoim fantazyom... Ale tworzyć, ale wydawać na świat, ale wychowywać mozolnie dziecię, układać je do snu nasycone co wieczór mlekiem, ściskać je do rana z niewyczerpanem uczuciem matki, lizać gdy jest brudne, ubierać po sto razy w najpiękniejsze sukienki, które nieustannie drze; nie zrażać się konwulsyami tego szalonego życia i zrobić z niego arcydzieło.. to jest wykonanie i wszystkie jego trudy". A dalej: „Jeżeli artysta nie rzuca się w dzieło własne (ne se precipite pas dans son oeuvre), jak Kurcyusz w otchłań, jak żołnierz na redutę, bez zastanowienia i jeżeli w tym kraterze nie pracuje tak, jak górnik, zasypany ziemią, dzieło pozostaje niedokończonem... Praca nieustanna jest prawem sztuki, tak samo jak życia; gdyż ona jest istnieniem idealizowanem."

Na palcach moglibyśmy policzyć naszych zdeterminowanych „Kurcyuszów". Iluż natomiast mamy „kurtyzanów" oddanych swoim fantazyom. Ale ci ostatni nie są najgorsi. Oni przynajmniej — marzą, myślą o pięknych dziełach i poczynają takowe, tylko brak męstwa i determinacyi, brak sił i zdolności poświęcania się udaremniają ich plany. Największą plagą są tu nie oni, lecz ci, co o żadnych „pięknych dziełach" nie myślą, o niczem zaszczytnem nie marzą i oddani są tylko udoskonaleniu sposobów zwiększania swej wytwórczości i wydawania na świat maximum „dzieł" za pomocą minimum wysiłku, zużycia sił i poświęcenia. Są między nimi zwyczajni „aferzyści", dla których sztuka jest gałęzią przemysłu, są próżni zniecierpliwieni histerycy, zwracający się ku niej, jako do czegoś, co obiecuje im zaspokojenie ich drobnych ambicyjek i cierpiący na hipertrofję miłości samego siebie (nie mówimy: miłości własnej, gdyż tej towarzyszy poczucie godności osobistej, czego im brak); są fanfaroni, którym chodzi o błyszczenie w świecie, o poklask na rautach i laury, zbierane na five oklock'ach, dla których sztuka jest sportem, są wreszcie cierpiący na manię wielkości, których główną ambicyą jest być drukowanym, gdyż to ich zdaniem prostą i najłatwiejszą drogą prowadzi do „sławy grodu."

Cała ta szarańcza zgłodniała i nienasycona spada najgrubszą warstwą, rzecz prosta na literaturę, ta bowiem mniej niż inne formy twórczości wymaga wysiłku, uzdolnienia, studyów przygotowawczych i tej niewyczerpanej miłości macierzyńskiej w chwili tworzenia. Ażeby zostać artystą dramatycznym, śpiewakiem, muzykiem, malarzem, trzeba przyrodzone pierwiastki talentu przez dłuższy czas ćwiczyć; trzeba odbyć okres pracy przygotowawczej, tak samo jako w innych zawodach, zanim talent posiądzie możność uzewnętrzniania się. O pracach przygotowawczych, o czeladnictwie, polegającem na zbogaceniu doświadczenia życiowego, kontrolowaniu wrażeń osobistych, poznaniu złożoności zjawisk psychicznych, koncentrowaniu siebie samego i ćwiczeniu władz myślenia nie chcą słyszeć ci, którzy czują w sobie „pociąg" do twórczości literackiej. Największą trudnością techniczną, jaką mają do pokonania jest umiejętność pisania: gdy ta zostanie usuniętą, nic nie stoji im na przeszkodzie do uzewnętrzniania się: w innych rodzajach twórczości trudności techniczne mogą niejednego aspiranta zrazić, tu tak tych przeszkód niewiele, że tylko zachęty można doznać. Zresztą i ta jest zbyteczną, gdyż w aspirantach do twórczości literackiej tak jest silnem „parcie wewnętrzne" do ujawnienia się, tak wielka chęć „wystąpienia" na niwie pracy literackiej, że żadnej zachęty im nie trzeba. To też uzewnętrzniają się bez wahania, bez większego namysłu, gdyż to jest naczelną potrzebą ich istoty. Nie mówimy tu o „uzewnętrznieniach" się nie chybionych, obiecujących na przyszłość wiele, które później usprawiedliwiły chęć wystąpienia szeregiem dzieł i czynów wartościowych.

Chodzi nam głównie o tych, którzy ani talentem nie zdobyli sobie prawa na coś podobnego, ani zdolnością poświęcania się dla sztuki, o tych, dla których fizyczna strona wystąpienia jest najbardziej pilną sprawą, wyczerpującą ich ambicyą i troskę o przyszłość. Taki „twórca", gdy raz już wystąpił — mniejsza o to udatnie czy nie — gdy raz wcisnął się przypadkiem, czy też dzięki uprzejmości innych, do okólnika literackiego, staje od razu u szczytu swych marzeń: niczego już więcej nie pragnie, do żadnych obowiązków się nie poczuwa, o niczem innem nie myśli, jak tylko o wyzyskaniu tego prawa, jakie „zdobył" sobie przez włączenie się do gromady. Wówczas zaciera ręce z radości, bo teraz może już broić bezkarnie, wierzgać na wszystkie strony. Tacy nie poprzestają na pierwszem „uzewnętrznieniu" się, lecz starają się jaknajśpieszniej potwierdzać samych siebie szeregiem „dzieł" i „prac" powołanych do życia chęcią dogodzenia swoim próżnostkom, lub poziomym interesom. Początki mogą być nieśmiałe, „wystąpienie pierwsze bardzo skromne, lecz gdy się ono uda, wtedy powiada sobie autor: modestie à part! — dość tych dziecinnych chwiejności, patent na „twórcę", wszak mamy w rękach, można więc sobie pozwolić! Wówczas to zaczyna się orgia „twórcza" — rozpoczynają się kankany i sztuki łamane, urządzane na niwie literackiej. Można być na tę drogę wciągniętym wskutek nacisku smutnych okoliczności życiowych, potrzebą pospiesznej pracy dla chleba, za sprawą zgubnych oddziaływań prasy kuryerkowej, która tak traktuje talenty pisarskie — zwłaszcza młode, budzące wśród ogółu zaciekawienie — jak szewca lub krawca, u których obstalować można wszystko, czego moda wymaga. Często jednak brak szacunku dla swego powołania, brak gruntownych zasad, obojętność dla spraw sztuki, jak również przypadkowość, jednająca jej adeptów stanowią o tem kankanowaniu i aroganck'ch harcach na „niwach" twórczości. Na niwach tych dają sobie rendez-vous wszelkie wykolejenia i zniecierpliwienia współczesnego chorobliwie gorączkowego życia; literatura staje się ucieczką zwyrodniałych ambicyi i pragnień wywyższenia za jaką bądź cenę, a raczej za cenę najmniejszego wysiłku — wszelkich zawodów i rozgoryczeń, sił skrępowanych szukających chciwie natychmiastowego zajęcia i zużycia się, słowem tego wszystkiego, co uważa literaturę nie za cel, lecz za środek, ułatwiający urzeczywistnianie sprzecznych z nią rachub i widoków. Wszystkie te siły i czynniki mogą wprawdzie wysunąć na powierzchnię życia literackiego sporo cennych rzeczy, częściej jednak okrywają ją szumowinami i wszelkiego rodzaju śmieciem.

Jednym z najbardziej opłakanych objawów powyższego stanu rzeczy jest brak zupełny prawie wśród młodego pokolenia autorów, którzyby gromadnie zajęci byli urzeczywistnianiem jakiegoś wspólnie opracowanego ideału artystycznego, jakiejś idei społecznej; którzyby o niezależność twórczą dbali, nie przyjmowali gotowych szablonów bez protestu i nie wchodzili bez oporu, jak owce, do przygotowanej dla nich, przez konwenans i modę zagrody. To wszystko naraża na straty, na niepowodzenia, odsuwa daleko chwilę rozgłosu i wymaga bezinteresownego zużywania sił oraz usposobień twórczych. A jak tu z góry przystać na to, kiedy żądza wysunięcia się z szeregów pospólstwa, nie daje spokoju, kiedy walka i opór przez długi czas mogą trzymać w ciemnym kącie.

Nasi młodzi autorowie nie znają nawet tego, co filozof francuzki nazywał: przyjemnością ryzyka; po co tu ryzykować, kiedy można od razu wybrać sobie ciepłe miejsce na zapiecku jakiejś poważnej koteryi, siedzieć tam sobie spokojnie i zbierać powoli zasłużone wawrzyny. Widzimy wtedy co dzień to beznamiętne i cyniczne przenoszenie się rozmaitych „twórców" z jednego podwórka na drugie, wędrowanie tam gdzie więcej dają i gdzie się znajdzie więcej poważniejszych wędrowników. Proszę znaleźć wśród nas grono młodzieży, oddanej ideałom artystycznym, literackim lub naukowym z takiem zaparciem się, umiłowaniem bezinteresownem swego powołania i polotem ducha, jak ci ludzie, których wzór dał nam Balsac w „Illusions perdues". Czy my choć bladem odbiciem czegoś podobnego pochwalić się możemy? Za to iluż mamy literackich Rastignac'ów, Vautrin'ów, a w najlepszym razie Lucyanów de Rubanprés co doszli odrazu, bez wahań się i wątpień do przekonania: że między ludzi trzeba wpadać jak bomba, albo wciskać się jak zaraza,

tylko „robienie łokciami“, bezwzględne i nie oglądając się na nikogo, może przynieść owoce. Te i tym podobne usposobienia spotykane obecnie u większości naszych twórców, wydały i wciąż wydają masę utworów, należących do literatury „łatwej.“ Co mamy rozumieć przez to miano? Ponieważ jesteśmy skłonni do widzenia wszystkiego w czarnych kolorach, zrzekamy się tu głosu na rzecz kogo innego. Już w r. 1833 sławny krytyk francuzki D. Nisard literaturę taką przedstawiał w ten sposób: (Etudes de Critique littéraire). „Rozumiem przez literaturę łatwą wszelką pracę literacką, która nie wymaga ani studyów ani staranności, ani wyboru, ani krytycyzmu, ani sztuki, ani wreszcie tego wszystkiego, co jest trudne; która leci na oślep, chwyta się pierwszych lepszych rzeczy, zadawala się wszystkiem, notuje najniklejsze szmery mózgu, wszelkie pół-myśli bez związku i ciągu, które się krzyżują, popychają i ścigają w czaszce, jest to skutek czysto fizyczny podniecenia mózgowego, które jedni wywołują za pomocą wina, inni dymem tytuniu, niektórzy wprost skrzypieniem stalówki: są to błyskawice, zygzaki, komety bez ogona, race nieudatne, którym uprzejmi dali pojednawczą nazwę fantazyi.“ Nie chcemy się kusić o lepsze określenie rzeczy. Możemy poprzestać na definicyi Nisarda i zastosować ją dosłownie do naszych stosunków.

Każdy, cokolwiekbądź obeznany z naszym współczesnym ruchem belletrystycznym, zgodzi się z tem, że znaczna część tego, co on nam daje, jest rezultatem owego fizycznego głównie podniecenia mózgowego. Z powieści zrobiono prawdziwą szufladę, do której pierwsza lepsza nieudolność usiłuje wsypywać wszelkie strzępki i skrawki swej pół-myśli i pół-doświadczenia. Powieść stała się w większości wypadków stekiem gadulstwa nudzącego i komeraży, zbiornikiem jakby umyślnie zbieranych banalności, składem tandety, ciągle tylko odświeżanej, by się zupełnie nie zleżała. Żaden z młodych autorów naszych nie chce słyszeć o tem, że kopalnie pomysłów niezużytych i tematów świeżych zostały prawie do dna wyczerpane, że najrozleglejsze doświadczenia już zużyto i ujawniono i że trzeba wyjątkowego talentu i wzroku niepospolicie przenikliwego, by dojrzeć istotnie coś niepowszedniego na łanach naszego życia, gdzie wszystko, co było prawdziwie znamiennem, sprzątnięto już dawno i wymłócono; że trzeba trochę poczekać zanim nowe zboża dojrzeją, zanim nowy jakiś układ stosunków nie da powodu do świeżych spostrzeń i doświadczeń. Dawniej, gdy na powierzchni życia naszego co chwila ukazywały się rozmaite „kwestye“ bardzo żywotne i roznamiętniające umysły (mamy tu na myśli wszystko to, co poruszała powieść nasza z przed laty kilkunastu), nie trudno było o świeży temat, interesujący bez względu na dobre opracowanie, o pomysł, ułatwiający sprawę tworzenia. Dzisiaj garściami „kwestyi“tych zbierać nie można: powierzchnia życia naszego nie roi się od spraw, bijących każdego w oczy i dających się obserwować; trzeba po treść sięgać głębiej i lada jakim zbiorem nie zadawalać się. Warunki twórczości nie są tak proste, trzeba więc być przezorniejszym i wybredniejszym. Z tem wszystkiem mało kto się liczy; dla tego też dzisiaj zbyt często młody autor występuje w roli odkrywcy nowych światów i widnokręgów, jakby był pierwszym pionierem na drodze, już dawno przez innych utorowanej.

Czują to doskonale wielcy nasi powieściopisarze (Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa), że doświadczenie, choćby największe, prędko się wyczerpuje, a o nowe nie tak łatwo, jeżeli, rzecz jasna, nie ssie go się z palca, i dla tego zwracają się do epok minionych, do życia przeszłego, poznawanego tylko pośrednio z dokumentów historycznych. Robią to samo nawet tacy jak p. T. Jeske-Choiński, który przecie nigdy się nie namyślał nad wyborem tematu do swoich utworów (choćby dla tego, że był echem czyimś); i p. Kosiakiewicz nawet, po wydaniu na świat tuzina swojskich „Janków“ i „Władków“, zrozumiał, że można wkrótce dostać ostatecznego rozmiękczenia mózgu przy takiej robocie i zapragnął zmienić przynajmniej tło swoich wdzięcznych utworów („Słowo“ zapowiedziało powieść p. K., osnutą na tle życia studentów Szwajcarskich). Młody, żądny popisu „twórca“, nie liczy się z tem wszystkiem: wszystko, co widzi przez okno własnego pokoju, włącza do swego utworu, wszelką zdobycz myśli własnej, nie porównaną z dorobkiem ogólnym, pakuje tam bez namysłu i rozwija z niewysłowioną rozkoszą ojcowstwa. Żadne perswazye i błagania przyjaciół nie pomogą, najsurowsze cięgi, brane od krytyki, nie odstraszą go od tego uzewnętrzniania własnego niedoważenia i niedojrzałych rozmyślań.

Jedna dobra powieść, obmyślana i w treść bogata, wystarczy by wyczerpać doświadczenie wielu lat i odebrać myśli na czas dłuższy jej jędrność i intensywność. Tymczasem nasi powieściopisarze po kilku, raz poraz wyrzuconych z siebie dziełach, chcą nie wyjałowieć i na jednym stopniu utrzymać swą moc twórczą. Mógłby mnie kto posądzić, że chciałbym, iżby nasi autorowie pocili się nad utworami, jak Flaubert, po kilkanaście lat. Nie myślimy wcale skazywać ich na to, wymagać jednakże możemy większej sumienności, większego przebierania w materyale, słowem większych skrupułów twórczych i nie tak częstego puszczania rac nieudatnych, baloników, wydętych nikłą treścią. Wymagamy tedy od nich: trudu, pracy skupionej i uważnej, gdyż twórczość wszelka nie składa się wyłącznie z t. zw. „natchnień“ nie jest tylko sprawą intuicyjnego poznawania i bezwiednej cerebracyi.

Do literatury „łatwej“ możemy także włączyć ogromną większość naszych utworów nowelistycznych. Tu jeszcze mniej namysłu, mniej wyboru, większe zadawalanie się lada błahostką, niż w powieści. Najobfitszy jednak plon zbiera literatura łatwa na bezbarwnych łąkach poezyi naszej.

Większość wieszczów naszych potwierdza pogląd znakomitej poetki L. Ackermann na poezyę. „Ażeby pisać prozą — powiedziała — trzeba, bądź co bądź, mieć coś do powiedzenia; ażeby być poetą, można nie mieć nic“. Nasza poezya współczesna sprawia właśnie takie wrażenie, jakby większość jej przedstawicieli, nie miała „nic do powiedzenia“. Proszę rozejrzeć się uważnie w jakim całorocznym plonie naszej produkcyi poetyckiej. Pomijając zużyte, wyblakłe, zatęchłe komunały, talentem tylko — jeżeli on jest — wyświeżone i tak przystrojone, że nie rażą zbytnio swą powszedniością; zostawiając na stronie monotonne żale i skargi na niedolę życia i ciosy, jakie świat wymierza przeczulonym jaźniom poetyckim, w czem jeszcze, stosunkowo, najwięcej odszukać można talentu i siły twórczej — będziemy mieli do czynienia z całą masą takich utworów, które niżej jeszcze stoją od wszelkich skutków fizycznego tylko podniecenia mózgowego. Wszelkie niedokończone fermentacye miękkich jeszcze, niesformowanych mózgów, wszelkie powstrzymane w pół drogi procesy myślenia, nierozwinięte i porwane myśli, uczucia, będące zaledwie w stanie zalążkowym, wzruszenia nikłe i przelotne, słowem całe ubóstwo ducha, jego niepewność, bezwiedność i nieruchomość, zamiast pełni, świadomości i natężenia, znajdują w rymach tych ujście. Poezya jest „językiem serca“ — powiada podniośle poeta; przyznać jednak trzeba, że język tych „serc“ poetyckich zupełnie odpowiada bełkotaniu dzieci, a niekiedy i dźwięki mowy nieartykułowanej przypomina.

Cóż z tego, że brak nam silnych wstrząśnień ducha? — powiadają nasi zawodowi pieśniarze, — cóż z tego, że myśl nam nie dopisuje i że wytwarzać jej mózgi nasze nie umieją, kiedy my mamy „coś“ co pieniom naszym daje racyę bytu, kiedy mamy formę, która zapewnia twórczości naszej przewagę nad wszelkiemi innemi rodzajami wytworów umysłu ludzkiego.

I mają słuszność. Wiedzą, że przewaga zewnętrzna, jaką posiada ich twórczość, że ta forma sama przez się, bez żadnych niepotrzebnych dodatków, jak myśl, wprowadzi ich do literatury, zwróci uwagę czytelników i zapewni rozgłos. Każdy z nich wie o tem doskonale, że treść ich poezyi, wyrażona mową zwykłą, nie nadawałaby się do głośnego wypowiadania, tymczasem ujęta w formę wiersza, może nawet olśnić, oszołomić i sprawić wrażenie. Jakże tu nie uledz pokusie wierszowania? Bez tego siedziałoby się przez całą wieczność w mysiej norze i nikt by uwagi nie zwrócił, nikomu bowiem nie są potrzebne nikłości ducha: pół-czucia, pół-myśli i pół-doświadczenia. Lecz gdy się to wszystko uzewnętrzni w wiązanej mowie, wypłynąć można od razu, a przynajmniej od razu być zarejestrowanym w spisie niezwykłych istnień. Stanowisko poety jest uprzywilejowane; w mniemaniu ogółu reprezentuje on właściwie najwyższą duchową działalność i istotną twórczość umysłu ludzkiego. Do tego stanowiska aspirują u nas wszelkie możliwe nicości, którym ubóstwo ducha dzwoni nad uchem: zginiecie bez śladu, w wierszowaniu tylko wasze zbawienie! W rezultacie spada deszcz takich utworów, iż przysiągłbyś, że ktoś przez figle oddał do druku sztambuchy pensyonarek.

*W. I. Gryf.*

## TO I OWO.

### W sprawie Górnoszląskiego Towarz. literackiego.

Od jednego z emigrantów polskich, przebywających czas dłuższy w Rumunii odbieramy pismo następujące:

Szanowny Panie Redaktorze!

Gdy w r. 1892 dla zmiany warunków miejscowych rozwiązała się biblioteka polska w Rumunii, licząca przeszło 4000 tomów i przeszło 7000 franków żelaznego kapitału, postanowił zarząd z dr. I. Łukaszewskim na czele ofiarować wszystkie książki i fundusze górnoszląskiemu towarzystwu literackiemu z siedzibą w Bytomiu, na którego czele stanęli pp. poseł Szmula jako przewodniczący, A. Napieralski, redaktor Katolika, jako bibliotekarz, oraz J. Szaflik, jako skarbnik. Do darowizny tej skłoniło zarząd wzniosłe zadanie górnoszląskiego Towarzystwa, które wytknęło sobie jako cel „wydawać dobre książki, zbierać materyały tyczące się dziejów, literatury, zwyczajów ludu na Szląsku, utrzymywać bibliotekę większą i zakładać biblioteki dla ludu, słowem stać się pierwszem i jak na teraz jedynem ogniskiem, z którego ma się rozchodzić na całą prowincyę ożywcze ciepło narodowej oświaty“.

Górnoszląskie Towarzystwo literackie przyjęło książki i pieniądze, kwitując z odbioru pismem następującem.

„Bytom G.-szl. 8 grudnia 1892.

Niżej podpisany zarząd „Górnoszląskiego Towarzystwa Literackiego“ z siedzibą w Bytomiu kwituje z odbioru:

1) Bibljoteki istniejącej dawniej w Jassach pod nazwą „Biblioteki polskiej w Rumunii“, a składającej się z przeszło 4.000 dzieł;

2) funduszu żelaznego tejże Biblioteki w sumie 7.000 (siedmiu tysięcy) franków w złocie w 5 proc. państwowej rencie rumuńskiej (rente 5 proc. amortisable);

3) sumy 98 i pół fr., jako kwoty otrzymanej ze sprzedaży „Książki pamiątkowej Biblioteki polskiej w Rumunii.“

Z przejęciem powyższego majątku Biblioteki polskiej w Rumunii zobowięzuje się niżej podpisany zarząd: a) że raz na rok będzie zdawał sprawę z czynności Towarzystwa literackiego, przesyłając poczytniejszym czasopismom polskim sprawozdanie do ogłoszenia; b) że w razie rozwiązania towarzystwa, bibliotekę rumuńską i złączony z nią fundusz żelazny odda pod takiemiż samemi warunkami innemu towarzystwu, równe lub podobne cele mającemu, co „Górnoszląskie Tow. literackie.“

Zarząd górnoszląskiego Towarzystwa literackiego. Przewodniczący major Szmula, poseł na oba sejmy berlińskie. Sekretarz i bibliotekarz Adam Napieralski, redaktor „Katolika“: Kasyer J. Szaflik“.

Od chwili powyższego pokwitowania minęło 3 i pół roku, a nie wiadomo mi, aby towarzystwo górnoszląskie wypełniło przyjęte na siebie obowiązki. Ponieważ napróżno śledzę za rozwojem działalności tegoż i napróżno szukam regularnych sprawozdań rocznych w poczytniejszych czasopismach, zatem upraszam uprzejmie Szanownego Pana Redaktora, aby przez ogłoszeniu listu niniejszego spowodował publiczne wyjaśnienie, a gdyby żądanie moje było bezpodstawne, tj. oparte na niedostatecznych informacyach, w drodze prywatnej o sprawie uwiadomić mnie raczył. Chyba nikt się dziwić nie może, że interesują mnie losy biblioteki, do której jako jeden z dawnych opiekunów przywiązałem się serdecznie. Dzieło to tak pięknie się rozwinęło i szkoda byłoby zaiste, gdyby zmartwieć miało.

Z głębokim szacunkiem

. . . . ski.

Przypisek Redakcyi. Nie posiadając bliższych informacyi o losach biblioteki i funduszów przekazanych Górnoszląskiemu Towarzystwu literackiemu, czynimy zadość życzeniu korespondenta naszego, ogłaszając pismo powyższe. Wyrażamy przytem nadzieję, że zarząd towarzystwa raczy uprzejmie udzielić pożądanych wyjaśnień.

* * *

## O wywoływaniu w teatrze.

Ernest Possart, indendant teatrów dworskich w Monachium, następującą, nader trafną wygłasza opinię o wywoływaniu artystów w teatrze:

„Na podstawie mej trzydziestoletniej praktyki teatralnej nie byłbym w zgodzie z mojem przekonaniem, gdybym powiedział: „precz z wywoływaniem!“ Nie zgadza się to może z pojęciem o sztuce. jeżeli n. p. artysta grający Franciszka Moora, po scenie bezgranicznej rozpaczy składa publiczności konwencyonalny ukłon. Mniemaćby można, że artyście powinno być obojętne, czy za objawy gorącego uznania skwituje ukłonem, lub nie, ale zdarzają się chwile, — a byłem tego świadkiem nietylko w Niemczech, lecz i za granicą, — w których zachwyt publiczności z tak żywiołową wybucha siłą, że nieukazanie się artysty byłoby krzywdą dla rozentuzyazmowanego audytoryum. U nas w Monachium nie wolno prezentować się publiczności wywołującej podczas aktu; nie wolno też przedstawicielom tych postaci, które w ciągu aktu umarły, bezpośrednio po zapadnięciu kurtyny się pokazywać. Artyści tacy muszą czekać aż do końca widowiska, zanim ukazać się mogą publiczności. Zresztą dozwolonem jest artystom prezentować się przed kurtyną przy końcu każdego aktu, a odnosi się to także do tych artystów, którzy tylko w pierwszych scenach aktu występowali. U nas w Monachium zdarzało się często, że n. p. w wielkiej aryi Leonory w „Fidelio“ taki zapał ogarniał publiczność i taka zrywała się burza oklasków, potęgująca się z każdą chwilą, że było niepodobieństwem zabronić artystom powtórnego ukazania się, nie chcąc do żywego dotknąć publiczności. Biegłem wtedy za kulisy i prosiłem artystkę, by powtórnie przedstawiła się widzom. Zdając sobie sprawę, że postępuję przeciwko przyjętym zasadom i regulaminowi, byłem jednocześnie głęboko przekonany, że w takich warunkach nieobecność artystki byłaby efekt całego wieczoru zepsuła, a publiczność wychodziłaby z teatru przygnębiona. Mojem zdaniem nie powinno się zachwytu publiczności osłabiać pedantycznem stosowaniem ciasnych prawideł. Jeszcze dzisiaj żywo sobie przypominam podobne zajście w Bayreucie. Było to ostatnie przedstawienie „Parsifal'a“, na którem Wagner był obecny. Ostatnie sceny grała orkiestra pod dyrekcyą samego mistrza. Zachwyt, rosnący z każdą minutą, doszedł po zapadnięciu kurtyny do niebywałych rozmiarów. Publiczność, żądna jeszcze raz zobaczyć mistrza, chciała go widzieć na scenie i chciała mu owacyjnie dziękować. On usiadł w loży pierwszego piętra, obojętny i głuchy na wszelkie prośby i oklaski. Dziesięć minut, długich dziesięć minut trwał grzmot oklasków i nieustające wołania publiczności. Mistrz pozostał niewzruszony. Wychodziliśmy z teatru przygnębieni — uroczysty i podniosły nastrój całego wieczoru zniknął. Jeszcze na dworcu panował ogólny rozstrój i rozczarowanie. Jeśli wielki i zasłużony człowiek pozostaje obojętnym na szczere i serdeczne objawy hołdu jedynie dla zasady: „nie chcę waszych hołdów, podziwiajcie moje dzieło, a mnie zostawcie w spokoju“ — to niepotrzebnie święty ogień zapału gasi strumieniami zimnej wody. Według mego zdania, nie ubliża wielkiemu człowiekowi dziękować osobiście za hołdy składane jego dziełu, bo sympatye nasze z dzieła przenosimy na twórcę. Nie inaczej ma się rzecz z produkcyą aktorską. Doskonała i wybitna gra aktorska jest tak samo dziełem artystycznem i tym samym podlega prawidłom; w obecnych czasach trzeźwej krytyki i zimnej analizy nie należy oziębiać zapału publiczności. Z tego względu wydają mi się przepisy, obowiązujące w Monachium zupełnie odpowiednie i poleciłbym je gorąco wszystkim innym scenom:

Ukazywać się wywołującej publiczności podczas aktu jest niedozwolonem — dozwolonem natomiast po skończeniu aktu. Przedstawicielom tych postaci dramatycznych, które w ciągu wieczoru umierają, wolno dopiero po ukończeniu całej sztuki prezentować się wołającym widzom.

* * *

## Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie.

W uzupełnieniu podanej w przeszłym numerze wiadomości o założeniu wyższego gimnazyum żeńskiego w Krakowie, zamieszczamy poniżej *wykaz przedmiotów nauki oraz ilości godzin tygodniowo na nie przeznaczonych.*

| Przedmioty nauk. | I. klasa | II. klasa | III. klasa | IV. klasa (najwyższa) |
|---|---|---|---|---|
| | Godziny. | | | |
| Religia | 1 | 1 | 1 | 1 |
| Język polski | 3 | 3 | 3 | 3 |
| Język niemiecki | 3 | 3 | 3 | 3 |
| Język francuzki | 3 | 3 | 3 | 3 |
| Język łaciński | 6 | 5 | 5 | 5 |
| Język grecki | — | 5 | 5 | 5 |
| Geografia i kosmografia | 3 | — | — | — |
| Historya polska i powszechna | 3 | 3 | 2 | 3 |
| Historya literatury powszechnej | — | — | 2 | 2 |
| Matematyka | 3 | 3 | 3 | 2 |
| Nauki przyrodnicze | 2 | 2 | 3 | 3 |
| Rysunki z nauką o stylach i poglądach na historyę sztuki | 2 | 2 | — | — |
| Psychologia z pedagogią i logiką | — | — | 2 | 2 |
| Gimnastyka | 2 | 2 | 2 | 2 |
| Ogólna liczba godz. | 31 | 32 | 34 | 34 |
| Po odliczeniu nadobowiązkowych | 25—28 | 22—29 | 24—29 | 24—29 |

Uwaga. Dla uczennic, które zechcą się uwolnić od nauki jednego lub obu języków klasycznych, będzie język francuzki i historya literatury powszechnej przedmiotem obowiązkowej nauki, dla innych będą te dwa przedmioty nadobowiązkowemi.

Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie jest z kolei 4 w monarchii Austryackiej zakładem, w którym zbiorowa inicyatywa prywatna stara się zadość uczynić coraz silniej występującej potrzebie gruntownego wykształcenia dziewcząt. Zakłady te staną się bezwątpienia rodzajem probierza różnych kierunków i zakresów, a doświadczenia w nich uzyskane wywrą stanowczy wpływ na ustrój szkół żeńskich rządowych, po części zaś oddziałać nawet mogą bardzo poważnie na program szkół męskich, jeśli skupienie nauki języków klasycznych już w czterech klasach wyda rezultaty dodatnie.

# NA WYŁOMIE.

(Liga demokratyczna).

Dotychczasowe niepowodzenia ruchu postępowo-demokratycznego w zaborze pruskim źródło swe mają nietylko w opanowaniu umysłów przez dwudziestoletnie wszechwładne rządy reakcyi konserwatywnej z przymieszką klerykalnych i ugodowych doktryn, lecz w rozsypce tych opozycyjnych żywiołów, które w tłumy głów kiwających przed bożyszczem starego porządku społecznego i nowej rzymsko-berlińskiej dyplomacyi rzuciły swe „*Liberum veto.*“ Niejednokrotnie już z tego miejsca ostrzegałem przed iluzyami, że z Cezarowem „*Veni, vidi, vici*“ wtargniemy na szańce przeciwników, niejednokrotnie wróżyłem, że niejeden z nas czoło sobie rozkrwawi o twardą skorupę, w którą reakcya, ugoda i kościelna polityka zakuły olbrzymią większość społeczeństwa, zanim pancerz ten pęknie i dusze ludzkie rozjaśni światło liberalniejszego i demokratyczniejszego na świat poglądu, — z drugiej strony jednak trudno całą winę niepowodzeń spychać na stosunki i zamykać oczy na te hamulce rozwoju, które są produktem własnej apatyi i kalectwa własnej energii politycznej.

Całą demokracyę zaboru pruskiego podzielić można dzisiaj na dwa obozy lub poprawniej „skrzydła“. Jedno, to inteli-

gencya, skupiona około „Przeglądu Poznańskiego“, drugie, to „ruch ludowy“ z kierującym organem swoim „Orędownikiem“ na czele. Pierwsze utworzyło się na wzór realistów czeskich bez wyraźnych form politycznego stronnictwa, drugie zespoliło się w ściślejszą organizacyę z własnym zarządem i komitetem wyborczym. Tamci to przeważnie teoretyczni wyznawcy pewnych społeczno-politycznych, literackich i filozoficznych kierunków, które szeroką działalnością publicystyczną zaszczepić się starają w opornem społeczeństwie, ci to ruchliwi działacze, spełniający w nieco wązkich warsztatach, o wyłącznie politycznym charakterze, grubą, aktualną robotę. Zdawałoby się, że oba te skrzydła demokracyi naszej uzupełniają się szczęśliwie — jedno jest słowem a drugie czynem, jedno szerokim ideowym podkładem, drugie węższem zastósowaniem praktycznem; przy dokładniejszej analizie jednak stosunek tych dwóch odłamów opozycyi obudzić musi wątpliwości pewne, i kto wie, czyby ruch postępowy w zaborze pruskim dziś już poważniejszemi zdobyczami poszczycić się nie mógł, gdyby mimo dzielących dwa skrzydła odcieni, cała demokracya złączyła się w jedną organizacyę partyjną. Organizacya taka musiałaby niewątpliwie oprzeć się na obustronnych koncesyach, lecz nie wymagałaby bynajmniej zupełnego zniwelowania różnic, tkwiących w samym charakterze demokratycznej inteligencyi i ruchu ludowego. O ile szerszym dzisiaj jest Przegląd od Orędownika, o tyle szersze byłyby w przyszłości dążenia Przeglądowego skrzydła od ruchu Orędownikowego, — odrębność ta jednak, mogąca ewentualnie naweт tu i owdzie przybrać charakter kolizyi, nie powinna żadną miarą przeszkodzić ułożeniu wspólnego politycznego programu i rozrzuceniu po całym zaborze pruskim sieci wielkiego stronnictwa. Centrum katolickie jest potężną, zwartą cyfrą polityczną, lubo przepaść szeroka, przepaść dzieląca chłopa bawarskiego od szląskiego magnata, między lewem a prawem skrzydłem jego się roztacza. Inteligencya skupiona koło „Przeglądu“ gotowa jest każdej chwili opuścić te katedralne wyżyny, na które ruch ludowy tak często utyskuje, jeżeli ruch ten zdecyduje się poczynić pewne ustępstwa formalnej i taktycznej natury, które dotychczas stanowią kość niezgody, a które bliżej unormować powinni delegaci obu skrzydeł demokratycznych. Ponieważ jednak kompromis polityczny między stronnictwem ludowem a rzeszą demokratycznej inteligencyi wtedy tylko w realne kształty przyodziać się może, jeżeli ostatnia na wzór pierwszego wcieli się w odrębne *n a r a z i e* formy organizacyjne i już nie jako luźne rycerstwo o jednej zasadniczej barwie, lecz jako „partya“ starać się będzie przez oficyalnych mandataryuszów swoich o połączenie dwóch skrzydeł demokracyi naszej, — zatem koniecznem jest, aby stronnicy Przeglądu utworzyli tymczasem samodzielny organizm partyjny, zanim przystąpimy do wielkiego dzieła zjednoczenia całej demokracyi w jedną lewicę o wspólnym programie, wspólnym generalnym zarządzie w Poznaniu i wspólnych komitetach lokalnych na prowincyi.

Rzuciłem tu szkic projektu, który, jak mi się wydaje, posiada cechy praktyczności, nie zaprzeczam jednak, że w rozwoju wypadków znajdą się może metody uproszczenia powyższej akcyi politycznej. Chodzi mi przedewszystkiem o to, aby usunąć wreszcie zarzut wytaczany przez przywódzców ruchu ludowego, a nie pozbawiony pewnej słuszności, że demokratyczna inteligencya, nie posiadając form stronnictwa, nie posiada tem samem warunków do układania obowięzujących i w praktyce skutecznych kompromisów. Chodzi mi dalej o to, aby raz wreszcie koniec położyć tej fatalnej rozsypce, która dotychczas paraliżuje najszlachetniejsze i najrozumniejsze wysiłki. Ten i ów zjawia się na arenie, kruszy kopię odważnie i ginie po bohatersku, — tak! jednostki zawsze ginąć będą, zwycięży tylko stronnictwo. Dopóki ta spoistość partyjna ze sfery luźnych projektów nie przejdzie w dziedzinę czynów, nie pozostanie nam nic innego, jak pocieszać się bolesnem zdaniem Rzymianina: *Victrix causa diis placuit sed victa Catoni.*

Więc liga demokratyczna! — oto najbliższy cel wszystkich dążeń naszych. Niech tylko organa ruchu ludowego przestaną utrudniać wcielenie tego zamiaru przez małostkowe i niepolityczne legendy o fałszywej demokracyi Przeglądowej, której tylko „karety i czwórki“ potrzeba dla skompletowania stylowego munduru. Idea demokracyi nie jest bynajmniej identyczną z ideą zupełnej niwelacyi społecznej, — w obrębie demokratycznego stronnictwa zawsze będą szczyty i doliny, różne potrzeby umysłowe, różne formy działania i różne upodobania towarzyskie, — ponad tem wszystkiem jednak unosi się jedna myśl, która nas wszystkich łączy i którą tak długo rozpalać będziemy, aż ogarnie całe społeczeństwo i stworzy nowe warunki bytu. *Sulla.*

---

## KRONIKA LITERACKA

* J e r z y G r o t o J a n i e K a s p r o w i c z u.

W nr. 20 „Przeglądu“ podaliśmy czytelnikom naszym wyjątek z pięknej rozprawy Jerzego Grota o poecie wielkopolskim Kasprowiczu, zamieszczonej w „Głosie“ warszawskim. Poniżej cytujemy końcowy ustęp trafnej krytyki:

„I oto nie poruszyłem wcale tego, co u nas właściwie nazywają „ludowością“ w pisarzach. Nie mówiłem wcale o przepięknych utworach Kasprowicza, w których już wyłącznie odtwarza świat wiejski: chłopa, przyrodę. Nie zacytowałem nawet wiersza: „Z całej gęby roześmiał się dzionek“, ani tej cudnej przygrywki:

Rozwiały się twoje włosy,
Złote włosy twoje.
Jak jutrzniane
Blaski ranne
Tak ci się rozwiały...;

ani cudnego opisu zalotów góralskich „na opalowej grani“ tatrzańskiej; ani tembardziej tych ustępów, w których opuszcza Kasprowicza (na krótką chwilę) zmysł świeżej prostoty, i do jędrnych pieśni zakrada się pod jej pozorami trywialne słownictwo dziennikarskiego żargonu; ani wreszcie żadnego z tych sonetów, których cykl miłośnie obejmuje szare chaty i lud ich szary:

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty;
Tak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy...
Dziś — wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! Czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!

Jeżeli nie mówiłem o niezwykle pięknych motywach, dotyczących wsi i przyrody u Kasprowicza, o jego chłopskich duszach, które porównać w trafności można tylko do szlacheckich dusz naszej dotychczasowej poezyi — to nie bez ważnego powodu. Oto — jakkolwiek śliczne i pełne znaczenia są te rzeczy — są one jednak już tylko szczegółem w ogólnych rysach fizyognomii Kasprowicza. Nie chcę mówić paradoksów. Kasprowicz od mowy swojej — wielkopolskiej ludowej mowy — aż do ostatniego ze swych tematów nie przestaje być „ludowym“. Tylko, że ludowość jego nie jest ani chłopomanią, ani demokratyzmem, ani zamiłowaniem do chłopskich tematów, lecz jest samą jego organizacyą duchową, przenika go na wskroś żywiołowo.

Ta odważna świeżość rytmu i mowy, ta świeżość czucia, ta prostota i siła, ta powaga i szczerość, które podnosiłem jako nastrój jego zasadniczy — nie sąż to głęboko „ludowe“ cechy? Ta skłonność do przemawiających tematów biblijnych i ich utrafienie, ta zdolność uszanowania bliźniego, sąsiada niemal, w szarym człowieku z gromady — nie są też to jeszcze rysy „ludowe?“ W samem traktowaniu sztuki przez Kasprowicza tkwi jakiś, wolno mi to powiedzieć, naiwnie święty ton, taki prosty a niezwykły, jaki odnaleźć można u Homera i wśród ludu.

Bo nie jest to nawet ów znany nam z doby romantyzmu „wieszczy“ polot; nie, to jest dużo spokojniejszego coś, nie tak strzelistego, choć nie mniej stanowczego.

Tak więc w całym swoim nastroju, w zasadniczej barwie temperamentu, czuciowości, umyśle — a jak na wstępie zaznaczyłem, w składni i słownictwie jest dla mnie Kasprowicz jakby pędem, strzelającym wprost, bezpośrednio z rdzenia ludowego. I oto jest żywiołowa, że tak powiem, podstawa znaczenia jego w poezyi naszej.

Gdybym mógł w tem miejscu poświęcić kilka kart na rozpatrzenie się w rytmice Kasprowicza, kilka innych — na analizę stylu, kilkanaście — na pochwycenie na gorącym uczynku roboty jego myśli, refleksyi w paru typowych utworach — miałbym również sposobność wykazania, co osiągnął już i z czem walczy jeszcze ten talent niespożyty. Nie, — muszę to odłożyć na inny raz. Proszę wziąć *M i ł o ś ć*, najświeższą rzecz Kasprowicza, i proszę się dać unieść tym wspaniałym fragmentom. Co tylko jest w nowożytnej poezyi dążenia do panrytmizmu, co tylko jest Shelley'owskiej w tem spuścizny lub nowych dorobków — znajdzie czytelnik w tych fragmentach. Jak tam huczy z gór prometejską drogą rozpętany z wszelkich okiełznań rytm! Trzeba mieć silną pierś, dużo w niej tchu, żeby za tym rwącym potokiem zdążyć.

Rzecz ciekawa: ten niby taki twardy język jak się rozpieszcza w brzmieniu i w miarach, kiedy poeta maluje swoją jasnowłosą! Żeby pisać tak, jak pisana jest *M i ł o ś ć*, trzeba bezwątpienia znajomości szkół literackich i najśmielszych przebojów wielkiej poezyi. Ale jednak są tam i reminiscencye chórału szeptów ludzkich z kościelnego tumu, nawet rytm litanii. A nadewszystko szał, smutek, pieszczota — każda zmiana duszy sama sobie stwarza swoją muzykę i swój rytm — jak w *I m p r o w i z a c y i*, jak w *P s a l m a c h*, jak w modlitwach, jak w swobodnej pieśni gminnej. Tu już przytoczenie strofy jednej niczego nie nauczy“.

(Cóż na to „Kuryer Poznański“, który mówiąc niedawno o literatach wielkopolskich, oświadczył kategorycznie, że o „p o r n o g r a f i e“ Kasprowiczu wspominać nie warto. Zaiste! papier jest bardzo cierpliwy. Przyp. Red.)

* * *

* S a r n e c k i Z y g m u n t. Nowelle. (Marta. — Powiem Mamie. — Terenia. — Wilki. — Nastka. — Dolcio. — Pelagia. — Pojedynek). Wydawnictwo W. Zukerkandla w Złoczowie. (Biblioteka Powszechna nr. 143—145.)

Wobec całej masy znakomitych dzieł naszego i obcego piśmiennictwa, których rozpowszechnianie powinno być przedewszystkiem celem wydawnictwa w rodzaju „Biblioteki Powszechnej“, przeznaczonego dla szerokich sfer czytelnictwa, dziwnym wydaje się wybór tego tomiku. Nowele p. Sarneckiego nie zalecają się ani formą, ani tre-

ścią. Pisane naprędce i niestarannie robią wrażenie niedokończonych obrazków. Treść każdej z nich znacznie przechodzi ramy noweli. Pełno tam tanich melodramatycznych efektów, z których autor nie umie nawet umiejętnie skorzystać. Kiedy chce wywołać wrażenie grozy, wywołuje ironiczny uśmiech. Spotykamy tam nagłą śmierć żony po skonstatowaniu niewinności męża (Terenia), pożarcie przez wilki (Wilki), tenora dostającego pomieszania zmysłów po ochrypnięciu na scenie (Dolcio) i t. p. straszne wypadki. Podobnie bezsensownej nowelki jak „Pelagia“ dawno nie zdarzyło nam się czytać.

Wogóle „Biblioteka Powszechna“ nie spełnia swego zadania. Widoczny jest tam brak kierunku literackiego. Dzięki temu znajdujemy w niej Ibsena „Wroga Ludu“ obok „Poradnika dla tańczących“ Kaczorowskiego.

Brak wydawnictwa w rodzaju Reclama w Niemczech daje się u nas uczuwać. „Biblioteka Powszechna“ z pewnością luki tej nie zapełni, jeżeli wydawać będzie nadal dzieła takich świeczników naszego piśmiennictwa, jak p. Sarnecki.

* * *

* Lud. organ Tow. ludoznawczego we Lwowie, t. II, resz. 2. Przekształciwszy się w r. b. z miesięcznika na kwartalnik, „Lud“ rozwija się raźno i obok „Wisły“ warszawskiej staje się prawdziwą ozdobą naszej literatury ludoznawczej, zbiorem nowych prac i materyałów. Z powodu spóźnienia się pierwszego zeszytu kwartalnika w krótkim stosunkowo czasie ukazuje się już zeszyt drugi, odznaczający się bogactwem i doborem treści. Na czele numeru znajdujemy gruntowną i pięknie napisaną pracę p. Witorda, „Jus primae noctis.“ Autor z wielką erudycyą wykazuje, że prawo pierwszej nocy, uważane zwykle za wytwór wieków średnich i stosunków feodalnych, w rzeczy samej było pozostałością prastarego heteryzmu i że właśnie wieki średnie i kościół katolicki przyczyniły się do jego zaniku. Praca dr. St. Karwowskiego „o niemczeniu Szląska“ ma charakter szkicu raczej historyczno-statystycznego, niż ludoznawczego, mimo to jednak jest pożądanym przyczynkiem w czasopiśmie ludoznawczem i wskazuje te punkty, gdzie ludoznawstwo styka się z żywotnemi kwestjami polityki, narodowości i dążeń społecznych.

Pani M. Wysłouchowa podaje zajmujące przyczynki do opisów wsi Wisły w Cieszyńskiem; opisów takich znamy już pokaźny szereg, pisali o tej wsi i o źródliskach rzeki Wisły zarówno Polacy jak i Czesi. Pani Wysłouchowa podaje opisy potraw i pieczyw ludowych w tej wsi używanych, nazwy dawane zwierzętom i wołania tych zwierząt, opis sprzętów i narzędzi gospodarczych i wreszcie kilkadziesiąt nazw roślin. Artykuł ozdobiony jest rysunkami. P. Rzechorz, etnograf czeski specyalnie pracujący nad etnografją Rusinów galicyjskich, podał opis poświęcenia mieszkania ruskiego w Galicji, w okolicach Żydaczowa. Opisano tu przeważnie obrzęd cerkiewny, lecz podano także parę ceremonij i wierzeń ludowych, towarzyszących temu obrzędowi. P. A. Strzelecki ciągnie dalej opis wystawy etnograficznej w Pradze. Do działu materjałów należą L. Magierowskiego „Leki, używane przez lud polski we wsi Wesołej w powiecie brzozowskim“, E. Kelbuszowskiego „Materjały do medycyny i wierzeń ludowych“, A. Siewińskiego „Bajka o trzech zaklętych królewnach“ i Leonarda Zeega „Pieśń o Napoleonie I.“, oczywiście książkowego pochodzenia, lecz powtarzana także przez lud. W dziale rozbiorów i sprawozdań omówiono 8 prac. Całości zeszytu dopełnia bibliografia i sprawozdanie z czynności Towarzystwa.

*I. Fr.*

* * *

* W. Zagórski. W wieku *XX*. Fantazya humorystyczna. Warszawa 1896, str. 139.

Nowelki humorystyczne są ulubionym rodzajem twórczości p. Zagórskiego. W tej „fantazyi“ autor rzeczywiście puszcza cugle swej wyobraźni, wprowadzając czytelników w urojoną przezeń Warszawę z końca wieku XX. Występują tam na scenę aeroplany, elektroskopy, pałace kryształowe na dnie Wisły, witalina Brown-Sequarda, oraz inne cudowne rzeczy. Bohater opowiadania, Czarny Tulipan, ścigany przez dawną kochankę, Niezabudkę, przechodzi różne koleje, zanim mu się udaje poślubić jakąś piękną kreolkę według obrządku budhaistycznego. „Fantazya“ p. Zagórskiego jest żartem literackim, który może uprzyjemnić czytelnikom parę wolnych chwil.

* * *

* Sewer. Biedronie. Petersburg. Grendyszyński. 1896. str. 321.

Zanim obszerniejsze sprawozdanie z tej powieści ukaże się w „Przeglądzie“, zaznaczamy jej ukazanie się na świat w nader ozdobnej formie. Treść malownicza, jak we wszystkich utworach Sewera, dała możność tak utalentowanemu artyście, jakim jest p. Tetmajer, rozrzucić na stronnicach książki znaczną ilość rysunków, mających charakter bardzo swojski i bardzo artystyczny.

---

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

## Odezwa

Powszechnie uznaną jest rzeczą, że szkoły żeńskie w Austryi, w szczególności zaś w Galicyi, nie odpowiadają dzisiejszym potrzebom społecznym. Dowodzą tego zamierzone lub mające być wprowadzone w życie reformy szkół wydziałowych, istotnie licznych o różnych programach pensyonatów prywatnych i klasztornych, w końcu dowodzą tego głosy publiczne odzywające się od czasu do czasu w prasie. Fakt ten został uznany nawet przez sfery decydujące, mianowicie przez p. ministra oświaty, który w Radzie państwa niedawno złożył oświadczenie, iż zamiarem jego jest w każdym kraju koronnym oznaczyć gimnazyum, w którem młodzież żeńska mogłaby zdawać egzamin dojrzałości, o ile prywatnie do takich egzaminów przygotować się zdoła. I rzeczywiście dotychczas w Austryi właściwie wcale nie posiadamy szkół, któreby dawały dziewczętom wykształcenie średnie, odpowiadające zakresowi gimnazyów męzkich. Pojmując budzące się dążenia do wyższego wykształcenia, które coraz wyraźniej wśród kobiet się ujawnia, brak racyonalnego przygotowania w zakresie takich przedmiotów, jak matematyka, fizyka, historya, literatura, nauki przyrodnicze w ogóle, zamyka przed naszemi kobietami możność nawet fachowego, racyonalnego wykształcenia, bądź w zakresie gospodarstwa wiejskiego, bądź też w zakresie przemysłu a nawet w zawodzie nauczycielskim i t. p.

Wobec oświadczenia p. ministra, że Rząd o takich szkołach na razie nie myśli, i że w tym względzie inicyatywę pozostawia społeczeństwu; wobec okoliczności, że Czechy w Pradze a Niemcy w Wiedniu już o tem pomyśleli i podobne szkoły z prywatnych założyli funduszów; wobec faktu, że te same potrzeby, może w wyższym stopniu istnieją u nas w Galicyi, która musi mieć na względzie stosunki w innych dzielnicach Polski, — niżej podpisani zawiązują „Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej“, które będzie miało za zadanie szkołę taką w Krakowie utworzyć i utrzymać. Ponieważ do urzeczywistnienia tego zamiaru potrzebne są dość znaczne środki, przeto niżej podpisani odwołują się do wszystkich tych osób, którym sprawa oświaty w ogóle, a w szczególności sprawa wykształcenia kobiet nie jest obojętną, i zapraszają do jak najliczniejszego zgłaszania się na członków „Towarzystwa szkoły gimnazyalnej żeńskiej“.

Statut tego Towarzystwa, przedłożony do zatwierdzenia Wysokiemu ck. Namiestnictwu, odróżnia 3 kategorye członków:

1. Członków założycieli, którzy płacą jednorazowo 100 złr.

2. Członków wspierających, którzy płacą rocznie 25 złr.

3. Członków zwyczajnych, którzy płacą miesięcznie 1 złr.

Licząc na to, że społeczeństwo nasze, odczuwając dosadnie brak racyonalnej i podług zasad pedagogicznych prowadzonej średniej szkoły żeńskiej, chętnie myśl tę poprze, niżej podpisani mają nadzieję, że znajdą należyte poparcie materyalne, aby jeszcze w roku bieżącym I-szą klasę szkoły tejże żeńskiej otworzyć.

Wszelkich objaśnień co do warunków przyjęcia na członków udzielają prof. Bujwid (Studencka 11), prof. Cybulski (Szczepańska 11), oraz radzca szkolny Dr. Trzaskowski, (Pijarska 5). Także zasięgnąć można wiadomości o programie nauk w zamierzonej szkole oraz o warunkach przyjęcia.

Kraków, w maju 1896 r.

Prof. Dr. Odo Bujwid. Prof. Dr. Napoleon Cybulski. Radzca szkolny Bronisław Trzaskowski.

---

# KRONIKA POWSZECHNA.

**Teatr i muzyka.** Zwracamy uwagę na dzisiejszy (sobota) koncert p. Majdrowicza, byłego artysty teatru poznańskiego. — Grono artystów poznańskich, objeżdżających nasze miasteczka prowincyonalne, straciło ostatnią wybitniejszą siłę. Trupę opuścił bowiem pan Królikowski. — Teatr lwowski zapowiada na czerwiec gościnne występy Marcełówny-Leszczyńskiej i Wolskiego, — na sierpień: Ladnowskiego i Rapackiego, — na wrzesień: Leszczyńskiego. — Warszawianka Margo Kaftal zaangażowana została do opery królewskiej w Berlinie na lat pięć. — Na scenie teatru wielkiego w Warszawie wystawiono jednoaktową operę Czajkowskiego pt. „Jolanta“. Oto, co pisze o przedstawieniu M. Gawalewicz w „Kraju“ petersburskim: „Teatr, pomimo premiery i dnia świątecznego, świecił pustkami: co prawda trudno było wybrać porę mniej przyjazną dla wystawienia tej nowości. Po wyeksploatowaniu kieszeni naszych na występy włoskich artystów, pod sam koniec sezonu, na początku wiosny, w dniu otwarcia dwóch wystaw, podczas koncertów dwóch orkiestr zagranicznych, w dniu, w którym cztery teatry były czynne, a w jednym dwa odbywały się przedstawienia, nie mogła biedna „Jolanta“ liczyć na wielkie powodzenie kasowe. Nazwisko Czajkowskiego jest wprawdzie u nas popularne, jako kompozytora, obdarowanego niepospolitym talentem, którego utwory orkiestrowe, symfoniczne, przez krytykę i miłośników poważnej muzyki należycie są cenione, ale jednoaktowa jego opera, wprowadzona po raz pierwszy do naszego repertuaru, nie należy do rzędu jego dzieł najcelniejszych, nie może zainteresować żywiej i utrzymać się dłużej na scenie, zwłaszcza w takich warunkach, o jakich powyżej wspomniałem, z dodatkiem bardzo nieszczególnej obsady w partyi tytułowej. Ślepą Jolantę śpiewała u nas artystka młoda, obdarowana wdziękami i powierzchownością sceniczną nader efektowną, ale pod względem głosu i talentu drugorzędna, pozbawiona zupełnie temperamentu i wyrobienia aktorskiego. Na p. Skulską można z przyjemnością patrzeć, nawet w mniejszych rolach operowych można pobłażliwie jej słuchać, ale w odpowiedzialnej partyi, wymagającej inteligentnej gry, poezyi i ekspresyi, primadonna ta nie dorasta swojego zadania.“ — Operetka lwowska rozpoczyna dziś szereg gościnnych występów w Krakowie. Na pierwsze przedstawienie wybrano „Palestranta“.

---

# ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Selekcianka.** Podajemy dziś wykaz przedmiotów naukowych, które wchodzą w plan krakowskiego gimnazyum. Po bliższe informacye niechaj Pani raczy się zgłosić do dyrektora B. Trzaskowskiego Kraków, ul. Pijarska nr. 5.

**Józefowi S.** Niechaj Pan w tym względzie zasięgnie opinii u zarządu berlińskiego muzeum (dr. Bode), któremu rzekomego Rembrandta należy przedstawić. W Poznaniu chwilowo nie ma osobistości, którаby w tym względzie wydać mogła sąd miarodawczy. Zwracamy jednak uwagę, że Rembrandt należy do najczęściej podrabianych i kopiowanych malarzy; oprócz tego kursuje mnóstwo obrazów, wykonanych przez uczniów jego, a poprawionych lub uzupełnionych przez mistrza.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28